

W NUMERZE:

E. POTTIER, J. B. CLÉMENT, Z. MICHEL, E. CHATELEIN, L. MARCHAND — wiersze o Komunie Paryskiej.
T. PAPIER — Opowiadanie o średniaku i kutaku. WŁ. SMÓLSKI — Poeci Komuny Paryskiej.
D. BRZOZOWSKA — Realizm Dygasińskiego. A. FADIEJEW — Praca pisarza.
A. LISIECKA — „Księżyc”... Filipowicz. P. CHMURA — Rozmowa z korespondentem.
F. FENIKOWSKI — „No passarran” (fr. powieści) J. JELONEK — Porąbka... w socjalizm!
M. WILK — Michał Sadoveanu. H. ŻABIKOWNA — W szkole twórczej pracy.

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 25. III. 1951 r.

Nr 12 (295)

WOJCIECH ŚCIBOR

EKONOMICZNE PODSTAWY FRONTU NARODOWEGO NA WSI

Od pierwszych chwil uzyskania samodzielności politycznej Polski po pierwszej wojnie światowej, politycy burżuazyjni dzierżąc rządy w ówczesnej Polsce obiecywali masom ludowym okres szybkiego i pomyślnego rozwoju gospodarki narodowej. Ale kapitalizm w latach dwudziestych XIX stulecia jest już kapitalizmem schyłkowym, wszedł w fazę ostatnią — imperializm, panowania monopolu, rządów kapitału finansowego i podziału świata między największe mocarstwa kapitalistyczne na strefy wyszysku.

I dlatego odzyskanie niepodległości, przy przechwyceniu władzy przez burżuazję w warunkach gnijącego kapitalizmu, mogło prowadzić tylko w kierunku odwrotnym do tak bujnego rozwoju gospodarczego, jaki w początkowych latach rozwoju kapitalizmu w Polsce obserwujemy w Kongresówce, kiedy to produkcja przemysłowa jednego dwudziestolecia 1870 — 1890 trzykrotnie przewyższyła produkcję reżimów poprzedniego stulecia, a ludność naszych miast rosła w oszalałym tempie (Łódź — 1821 rok — 800 mieszkańców, Łódź — 1897 — 315 tysięcy mieszkańców).

Zamknęły się bowiem po Rewolucji Październikowej skutki antyradzieckiego nastawienia rządów kapitalistycznych — „obszarnicz” w Polsce możliwości eksportu wyrobów przemysłu lekkiego na rynki rosyjskie oraz za ich pośrednictwem na rynki Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Odpadły przez to nadzieje na wysokie zyski przy lokowaniu nowych kapitałów zagranicznych w Polsce, mimo istnienia znacznego rynku wyjątkowo tanich sił roboczych do pracy w przemyśle, wobec postępującego szybko po uwłaszczeniu (1864) rozwarstwiania wsi polskiej i proletariatu podstawowych mas chłopskich.

Wielki kapitał międzynarodowy, inicjując interwencje zbrojne i napaści na ZSRR od pierwszych chwil powstania władzy radzieckiej liczyć się musiał poważnie z Polską, jako terenem rozprawy zbrojnej z ZSRR, niechętnie więc i ostrożnie inwestował tu nowe kapitały, przechodził do polityki wykupywania całych gałęzi przemysłu polskiego od drobniejszych kapitalistów krajowych i zagranicznych, i organizował je w kartele i monopole, a zysk z nich wywoził poza granice Polski.

W ten sposób w rękach kapitału zagranicznego, przy pomocy sfer rządowych i polskich kapitalistów i obszarników (współpracujących ręką w rękę z obcym kapitałem przy wyzyskiwaniu własnego narodu, a zwłaszcza jego mas pracujących), znalazło się ponad 54 proc. kopalni, 87 proc. szybow naftowych, 60 proc. przemysłu chemicznego, 81 proc. elektrowni itp.

Jednocześnie z postępującą w latach trzydziestych XX w. koncentracją kapitału w Polsce w rękę nielicznej garstki kapitalistów zagranicznych i krajowych, wraz z rozwojem karteli, które ułatwiały przez opanowanie rynku wyzysk mas pracujących, postępuje stale napręd proces ubożenia klasy robotniczej, mało i średniorolnych chłopów, jak również i drobnych przedsiębiorców, rujnowanych przez wielki, skartelizowany przemysł.

Uubożenie mas pracujących wywoływało kurczenie się rynku wewnętrznego, co pociągać musiało stopniowy spadek produkcji przemysłowej i produkcji rolnej.

Jak się w tych warunkach przedstawiała sytuacja materialna mało i średniorolnych chłopów?

Stale ubożenie klasy robotniczej nekanej kryzysami i bezrobociem sprawiło, że kurczył się rynek wewnętrzny, spadały ceny rolnicze.

W okresie lat 1931 — 1937, kiedy ludność rolnicza w Polsce wzrosła na skutek przyrostu naturalnego o 2 miliony osób (a nie było w tym czasie żadnych możliwości odpływu do zajęć nierolniczych), wartość produkcji rolnej spadła z 8,2 mld. złotych na 5 mld. złotych, czyli o 40 proc. Ceny natomiast artykułów przemysłowych, na skutek zmonopolizowania, nie spadały w tym stosunku, a nawet w wielu podstawowych artykułach wzrosły. Ten spadek produkcji rolnej i cen artykułów rolniczych musiał się odbić fatalnie na sytuacji materialnej mało i średniorolnych chłopów.

Wymownie o tym świadczy ograniczenie przez wieś w latach 1928 — 1934 o połowę zakupów artykułów przemysłowych, co z kolei musiało się przyczynić do dalszego spadku

produkcji przemysłowej, a co za tym idzie, do wzrostu bezrobocia i dalszego pogorszenia się sytuacji klasy robotniczej.

A jeśli dodamy do tego wielkie zadłużenie chłopów w Polsce, rozdrobienie gospodarstw, wyzysk chłopów przez pośredników handlowych i lichwiarzy wiejskich, krzywdzący wieś stosunek cen artykułów rolnych i przemysłowych i wiele jeszcze innych czynników, które tę sytuację pogarszały z roku na rok — to w rezultacie otrzymamy ponury obraz warunków życia podstawowych mas chłopskich w Polsce przedwzrostu.

Na nędzy mało i średniorolnych chłopów bogaci się obszarnik, bo dzięki niej mógł liczyć na tanie robociznę do pracy na folwarku. Korzystał z tej nędzy również i bogacz wiejski, wyszukujący niemiłosiernie zwłaszcza bezrolnych komorników i małorolnych chłopów przy wypożyczaniu pieniędzy na lichwiarski procent, przez zmuszanie do odrobku za wydzierżawiony zagon pod kartofle, za wypożyczone ziarno od siewu, za użyty sprzęt itp.

Te fakty dowodzą niezbicie, że rządy kapitalistów i obszarników w Polsce przedwzrostu, stopniowo doprowadziły do wyrzucenia poza nawias „gospodarki narodowej” i „rynku krajowego” olbrzymiej części narodu, przede wszystkim tych 8 milionów „zbędnych” na wsi, pół miliona bezrobotnych w miastach, i dalsze setki tysięcy chłopów mało i średniorolnych, wypłukiwanych z rynku przez obszarników i kulaków.

Cóż na to ekonomiści burżuazyjni?

„Chłop okazał się wytrzymałym na przewroty, przebedzie kryzys, który go szczególnie dotyka. Umiejętność poprzestawania na małym, znoszenia biedy, jest bardzo cenną w dzisiejszych czasach, a ta umiejętność posiada chłop w wysokim stopniu” — pisał jak na ironię R. Rybarski w r. 1934.

A burżuazyjny minister Skarbu Cz. Klarnier, godząc się z półkolonialnym charakterem Polski, wołał w przedwojennym Senacie, wyciągając szyję pod obrożę międzynarodowego kapitału:

„...rolnictwo jest odwiecznym warsztatem pracy polskiej, warsztatem pracy, który braki technicznej doskonałości zastępuje (???) zwiększeniem nakładu pracy ludu wiejskiego”.

Przeciwieństwo między kapitalistycznym miastem (gdzie koncentrowała się władza kapitału), a drobnotowarową gospodarką chłopów — przewrócił majowym i ugruntowaniu się polskiego faszyzmu przybrało już formę niemal kolonialnego wyzysku i plantatorskich stosunków przy użyciu form pozakapitałowego przymusu. Faszyści hitlerowscy, przejmując w okresie okupacji granatową policję, część powiązanego z kulactwem aparatu spółdzielczego i część powiązanego z obszarnictwem aparatu agronomicznego poprowadzili to dzieło dalej...

Taka polityka ekonomiczna, usuwająca pracujących chłopów poza nawias gospodarki narodowej i cofająca ich do okresu pierwotnej gospodarki samowystarczalnej, musiała mieć swoje konsekwencje i w dziedzinie kultury. Politycy sanacyjni, którzy usiłowali odciąć wieś od oświaty, wyciągali wnioski z izolacji gospodarstw pracujących chłopstwa i spieszyli ją umocnić od strony nadbudowy — „agraryzmem”, stanowiąc, ghandyzmem itp., aby utrwalić to ekonomiczno-techniczne zacofanie mas pracujących wsi, w które ją zepchnął rozwój kapitalizmu w Polsce.

Czyż w tych warunkach mogły powstać ekonomiczne podstawy jednolitej moralno-politycznej wspólnoty? Czyż w tych warunkach mógł się rysować przed masami pracującą chłopstwem inny „interes narodu” niż ten, który na swych czerwonych szatach wypisywała rewolucyjna partia proletariatu polskiego KPP, a więc obalenie kapitalistycznego porządku w Polsce?

Jedność moralno-polityczna narodu może powstać jedynie w warunkach jednolitej gospodarki i kultury narodu, a więc w perspektywie budowy społeczeństwa bezklasowego, w warunkach dyktatury proletariatu i władzy ludowej.

Od chwili wyzwolenia klasa robotnicza i jej rewolucyjna partia PPR rozpoczęła przy pomocy mas bra-

cującego chłopstwa zdecydowaną walkę o realizację nowego kierunku rozwoju. O złamanie w toku ostrej walki klasowej tych sił politycznych, które wieś w Polsce przedwojennej uczyniły obiektem kolonialnego niemal wyzysku, które ją próbowały odciąć od oświaty i kultury, które ją usiłowały zepchnąć na pozycję mierzwę w gospodarce i kulturze narodu.

A więc nacjonalizacja przemysłu, banków, transportu — zdecydowane obcięcie pazurow, przy pomocy których monopolistyczny kapitał międzynarodowy rwał żywe ciało narodu.

Dalej, reforma rolna — czyli danie możliwości pracy milionom bezrobotnych z rezerwowej armii proletariatu wiejskiego i przywrócenie im godności, pracowników i producentów.

Dalej, rozwój planowego skupu ziemiopłodów i produktów hodo-

wa — czyli podniesienie chłopów mało i średniorolnego do godności bezpośredniego (gdy sam dostawia) i pośredniego (gdy pilnuje dostaw kulać) żywiciela całego narodu.

Wreszcie elektryfikacja, dostawy nawozów sztucznych, traktorów, maszyn (pomoc sąsiedzka) itp. środków produkcji, które uzbudziły w wyższą technikę drobne i średnie gospodarstwa chłopskie.

Na tym etapie podstawowym ogniwem więzi pomiędzy rolnictwem i całością gospodarki narodowej, głównym ogniwem ekonomicznej spójności między pracującym chłopstwem a całym narodem, kierowanym przez klasę robotniczą i jej partię, wyrazem umacniającego się sojuszu robotniczo-chłopskiego stał się handel, nowy, spółdzielczy (oczyszczony od wpływu kulać) i państwowy handel, który nie zadowolona się wykorzystywaniem żywiołowych procesów, zachodzących na rynku wiejskim, ale dąży do uporządkowania tych procesów i do kierowania w sposób planowy popytem mas pracujących na wsi. W celu zachowania właściwych proporcji w rozwoju wszystkich gałęzi gospodarki narodowej i zabezpieczenia kierunku jej rozwoju ku socjalizmowi.

Dalej, rozwój planowego skupu ziemiopłodów i produktów hodo-

wa — czyli podniesienie chłopów mało i średniorolnego do godności bezpośredniego (gdy sam dostawia) i pośredniego (gdy pilnuje dostaw kulać) żywiciela całego narodu.

Wreszcie elektryfikacja, dostawy nawozów sztucznych, traktorów, maszyn (pomoc sąsiedzka) itp. środków produkcji, które uzbudziły w wyższą technikę drobne i średnie gospodarstwa chłopskie.

Na tym etapie podstawowym ogniwem więzi pomiędzy rolnictwem i całością gospodarki narodowej, głównym ogniwem ekonomicznej spójności między pracującym chłopstwem a całym narodem, kierowanym przez klasę robotniczą i jej partię, wyrazem umacniającego się sojuszu robotniczo-chłopskiego stał się handel, nowy, spółdzielczy (oczyszczony od wpływu kulać) i państwowy handel, który nie zadowolona się wykorzystywaniem żywiołowych procesów, zachodzących na rynku wiejskim, ale dąży do uporządkowania tych procesów i do kierowania w sposób planowy popytem mas pracujących na wsi. W celu zachowania właściwych proporcji w rozwoju wszystkich gałęzi gospodarki narodowej i zabezpieczenia kierunku jej rozwoju ku socjalizmowi.

A oto rezultaty tej polityki:

Obroty handlowe Centrali Rolniczej
(w dawnej walucie)

Plan	Wykonanie
Rok 1949 — 148 miliardów zł.	248 miliardów zł.
Rok 1950 — 327 miliardów zł.	446 miliardów zł.
Rok 1951 — 550 miliardów	

Dopiero w Polsce Ludowej masę pracujących chłopstwa stały się producentami dla gospodarki narodowej i konsumentami jej planowo zorganizowanej produkcji. Drobne i średnie gospodarstwo chłopskie tysiącami nie było związane z gospodarką narodową. Ale to dopiero pierwszy krok w budowie podstaw ekonomicznych dla polityczno-moralnej jednolitej wspólnoty.

„Teraz proletariatu dźwierz władzę — mówił Lenin w r. 1921, w okresie budowy podstaw socjalizmu w ZSRR — i sprawuje ją. Kieruje też chłopstwem. Co to znaczy kierować chłopstwem? To znaczy... nastawić się na zniesienie klas, a nie na drobne producenta”.

Dlaczego?

„Po obaleniu carów, obszarników i kapitalistów — pisał Lenin — po raz pierwszy dopiero oczyszcza się teren dla prawdziwej budowy socjalizmu, dla stworzenia NOWEJ WIEZI SPOŁECZNEJ, nowej dyscypliny społecznej, nowego historycznego w skali światowej systemu, obejmującego całą gospodarkę narodową, a w następstwie również międzynarodową. Jest to sprawa przeobrażenia samych obyczajów, które długo jeszcze pozostaną zanieczyszczone, sepsane przez przeklętą własność prywatną środków produkcji, a wraz z nią przez całą ATMOSFERĘ WĄSNI I NIEUFNOSCI — WROGOSCI, ROZBICIA, INTRYG WZAJEMNYCH, ATMOSFERĘ, KTÓRĄ NIEUCHRONNIE DEPRAWUJE I STAŁE PODSYCA NA NOWO DROBNĄ ODOSOBNIONĄ GOSPODARKĄ, gospodarkę posiadaczy w warunkach wolnej wymiany pomiędzy nimi”.

Aby więc stworzyć podstawy ekonomiczne nowej więzi społecznej i jednolitej polityczno-moralnej wspólnoty, nie można poprzestać na stworzeniu tylko takich warunków, w których chłopcy pracujący mogą już korzystać z osiągnięć gospodarki rzeczywiście narodowej, mając zabezpieczenie przez władzę ludową zaopatrzenie w artykuły konsumpcyjne i zbyt piodów rolnych ze swych gospodarstw.

„Do ostatecznego wyzwolenia się z dawnych pęł — mówił Stalin — nie dość samego tylko rozgromienia wyzyskiwaczy. W tym celu trzeba jeszcze zbudować nowe życie, zbudować takie życie, któreby chłopu pracującemu umożliwiło polepszenie położenia materialnego i kulturalnego oraz podnoszenia się wzwyż z każdym dniem, z każdym rokiem. W tym celu trzeba zbudować nowy ustrój na wsi”.

Dopiero bowiem w warunkach zespolonej gospodarki rolnej, po wyzwoleniu się spod jarzma kula-

ckiego, przewyżczając stare nawyki i przyzwyczajenia, z tradycje i przesady wyniesione z dawnego ustroju, z drobnotowarowej gospodarki — zdobywają chłopcy pracujący możliwość planowego kształtowania całej produkcji rolnej, stosownie do potrzeb narodu, i stają u boku klasy robotniczej jako świadomi współbudowniczości dobrobytu, oświaty i kultury narodu.

Na tym etapie przebudowy rolnictwa i ściślejszego powiązania go z całokształtem gospodarki narodowej, decydującym ogniwem stają się Państwowe Ośrodki Maszynowe — instrument sojuszu robotniczo-chłopskiego i wyraz pomocy produkującej klasy robotniczej dla pracującego chłopstwa, budującego nowy ustrój na wsi.

Ta budowa ekonomicznych podstaw dla rzeczywistej jednolitej gospodarki narodowej przebiegała w warunkach ostrej walki klasowej, łamania tych sił politycznych, które dążyły do przywrócenia kapitalizmu w Polsce.

Kiedy KRN uchwałała wbrew głosom PSL nacjonalizację przemysłu i budowała zręby gospodarki rzeczy-

wiście narodowej — organ teoretyczny PSL „Przebudowa” pisał: „o potrzebie uplasowania się w międzynarodowym systemie podziału pracy” (czytaj: stref wyzysku), i że „to właśnie było najbardziej ujemną cechą działalności kapitałów obcych w Polsce przedwojennej, że działały u nas kapitały najbardziej pasywnie, a najmniej było u nas anglosaskiego kapitalizmu, który działał na stosunkowo najniższych zyskach”.

Jasne, co?

Taką samą ostrą walkę stoczyć trzeba było i o reformę rolną, o upowszechnienie kontraktacji, o właściwą politykę podatkową, o warunki elektryfikacji wsi, o zdemokratyzowanie spółdzielczości wiejskiej, o planowy skup zboża, o rozwój SOM i POM, o spółdzielczość produkcyjną. Ta walka wciąż jeszcze trwa.

W tej walce z kulactwem i wpływami rodzimej reakcji hojnie wspieranej pieniędzmi, a nawet bronią przez międzynarodowy kapitał — umocnił się sojusz robotniczo-chłopski z przodującą w nim rolę klasy robotniczej, wzrosła rewolucyjna aktywność mas pracującego chłopstwa, okrzepły terenowe organy jednolitej władzy ludowej — Rady Narodowe.

Wykonując zadania drugiego roku Planu 6-letniego, którego wytyczne nakreślają jasno wsi pracującej i całemu narodowi właściwy kierunek rozwoju — ku socjalizmowi, umacniamy podstawy ekonomiczne jednolitej wspólnoty polskiej, łamiąc zdecydowanie opór elementów kapitalistycznych, które doprowadziły już raz wieś pracującą i większość narodu do nędzy, ciemnoty i zacofania usiłując dziś zawrócić rozwój Polski po powrocie ku kapitalizmowi.

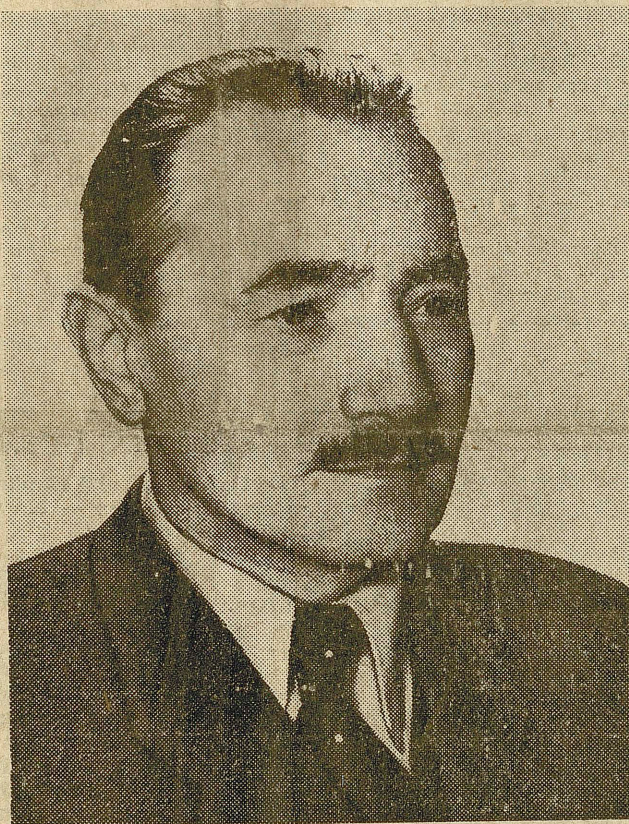
Polityczno-moralna jednolitość narodu polskiego rośnie i umacnia się w walce o socjalizm pod przewodnictwem klasy robotniczej i jej Partii, przewodniczącej narodu, a siłą swą czerpiącą z żywotnych soków międzynarodowego proletariatu i ze wspólnych wzorów życia i pracy socjalistycznych narodów Związku Radzieckiego — ojczyzny socjalizmu i z jej pomocy bezpośredniej i z jej przywództwa w światowym froncie Obozu Pokoju.

Wojciech Ścibor

1) W. I. Lenin. Końcówce przemówienia w związku z referatem o podatkach żywnościowym, wygłoszone 27 maja 1921 r. na Ogólnorosyjskiej Konferencji RKP(b). Dzieła, 3 wyd. ros. t. XXVI, str. 399-400.

2) W. I. Lenin, „Od pierwszego subotnika...”, Dzieła, 3 wyd. ros. t. XXV, str. 255.

3) J. Stalin, Zagadnienia leninizmu, Warszawa, 1950, Książka i Wiedza, Str. 385.



... wysunięte przez nas hasło frontu narodowego oznacza
ZWARCIE SZEREGÓW NARODU, PRZEKSZTAŁCAJĄCEGO
SIĘ W NARÓD SOCJALISTYCZNY — pod przewodnictwem
klasy robotniczej — w walce o najważniejsze cele
OGÓLNO-
NARODOWE, jakimi są: pokój, zabezpieczenie
niepodległości
i realizacja Planu 6-letniego.

BOLESŁAW BIERUT

Zdzisław Palsakiewicz

Przemiany

Pójsz by przez pola rodzinne
i zobaczyc je — inne,
przez ziemie nadwiślańskie,
wolne, nie jaśniepańskie,
gdzie w krzewach śpiewa wilga
i cień żniwiarki miga,
gdzie z ziarna się przebiła
treść nowa, oczom miła.

Widzieć twarz robotnika,
jak uśmiechem zakwita,
kiedy w chłopów gromadzie
rzecz swą długo prowadzi,
ręcz o zwycięskim kroku
w marszu walki klasowej
— tak wstaje przysiężna nowa
robotników i chłopów.

Potem do miasta wozem
jadą chłopcy ze zbożem,
pod czarnym niebieskim niebem
przednówek pachnie chlebem
i tak się rodzi z trudu
młodość ziemi i ludu,
krzepnie w klasowym boju
nowa jedność narodu
ta, która zniszczy wrogów
wsobolnym frontem pokoju.

Tadeusz Papier

Opowiadanie o średniaku, kulaku i PGR-ze

Krukowskiego nazywano we wsi „nowatorem”. Podpatrywał, gdzie mógł, nowe sposoby uprawy ziemi i praktykował je natychmiast u siebie.

Zawyczał udawały się eksperymenty. Oto ostatnio pokazywał grusze, którą zaszczyli według wskazówek kierownika PGR w Bukowie, Szymańskiego.

— Na tej odnodze — tłumaczył sąsiadowi, Kobrysiowi — będą rosły wczesne grusze, a na tej drugiej jesienne.

— He? — zapytywał z niedowierzaniem Kobryś.

— Mówię ci — powtarzał Krukowski z niecierpliwością — że na jednym drzewie będą rosły dwa gatunki owoców!

Miał Krukowski siedem hektarów, ziemia była jednak niezbyt urodzajna, piaskowata, średnie plony wahały się od 7 do 10 metrów z hektara, ale chłop chciał ją ujarzmić. „Do cholery — mówił do Kobrysi — muszę mieć plony, jak należy!” W 50 roku zebrał 18 metrów pszenicy z hektara. Był to triumf, z którym się obnosił wszędzie. Pszenica na piasku! Na skup zadeklarował 6 metrów. Później jeszcze dostarczył dodatkowo 4 metry żyta. Na wiosenny siew miał zboże odożone. Chciał je jednak wymienić na lepsze.

W sprawie siewu zostało zwolane zebranie. Referował sołtys Kwiatek. Był dzień lutowy, ale ze słońca świeciło, można było rozpiąć kołuchy i wchłaniać ciepłe, wiosenne powietrze. Krukowski był zły, ponieważ nie udało mu się starania o zmianę ziarna w Gospodarstwie Rolnym w Bukowie. Pęgerowskie zboże zostało przekazane według zamówień do spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

— Moi kochani, sprawa wygląda tak, że tylko blok mógł wymienić zboże. A do bloku ani Krukowski, ani Kobryś nie należą — usiłował wyjaśnić sytuację sołtys, ale wywołał jeszcze większe zamieszanie.

Krukowski pienieł się ze złości — byli sprytniejsi! Kto do bloku wszedł? Bogacze! Odmawiali innym, a sami weszli.

— Jacy bogacze? Kto bogacz? Wygadujecie i tyle — odezwał się nagle Kisiel nadszpejziewanie łagodnym głosem i to uciszyło chłopów. — Zien-tara — bogacz? Piasek — bogacz?

— A wy, co?

— Ja? Można tak i można tak...

— Wiedziałe go? Tak i tak!

— Zboże na skup oddałem? Podatki płać? Obywałem jestem czy nie jestem? A wy Krukowski, co? Nie prosiliście, żebyś do bloku przystąpił? Odpowiedziałeś: nie, bo to niby spółdzielnie utworzą...

— Sameś mnie, przemysłniku, odmawiał!

Nazajutrz Krukowski udał się ponownie do PGR-u. Chciał raz jeszcze rozmawiać z dyrektorem, ale go nie dopuszczono. Dyrektor sprawdził plan robót siewnych, opracowany przez Szymańskiego. Spokoił natomiast na podwórzu Szymańskiego. Kierownik szedł do obór. Sprawdził codziennie prace poszczególnych brygad. W warsztatach reperowano sprzęt siewny. W spichrzach sprawdzano zboże. Były to przed wiosną najpilniejsze prace. Mimo tych robót zarząd gospodarstwa nie zwalniał ani na chwilę kontroli nad bieżącymi zajęciami. Przeciwnie, wzmościł ją. Nadszedł Łuczak, sekretarz podstawowej organizacji, zagadał do Szymańskiego.

Nawalimy z końmi, albo z krowami i w marcu przybędzie nam dwa razy tyle roboty.

Szymański zachmurzył się.

— Ludzi za mało, ot co!

— Musimy dobrze sezonowych... sezonowi to są nasze... promienie na wies...

— Promienie! — Szymański zgadzał się z tym określeniem. W ubiegłym roku PGR zdobył sobie szacunek okolicznych wsi w niemałym stopniu dzięki sezonowym robotnikom. Oto taki Musiał, sezonowy robotnik z niedalekich Pyrzogów, opowiadał chłopom: „trzymetrowy siewnik, ucepiony za motorem, obsieje w ciągu 11 godzin 15 hektarów. Ten sam siewnik obsznuje kołmi — najwyżej 7 ha. A ręcznie?” A stary Trela ze wsi w poprzek. „To ta, powiadacie, takie szerokie koła, ciężar jak diabli, ziemię wgniecie i ziarno zostanie na wierzchu!”

„Ech, dziadku — tłumaczył Musiał — za Zetorem umieszczamy gracie, które wznoszą ziemię, na wszystko jest sposób”.

Ile z dobrowoli nagadał się Musiał i wielu takich Musiałów. To znaczyło, to dużo znaczyło.

Krukowski dopadł ich już w oborze. Choć Łuczak pracował przy koniach, ale teraz szedł z Szymańskim „służbowo”. Krukowski nie był z tego zadowolony. Wolął rozmawiać z Szymańskim sam na sam. Łuczak drażnił go. „Wysięcie tacy jak tyka słomiana, w którą stronę wiatr” — tak go określał Łuczak. „Wy zaś nie widziacie, tylko partia i partia” — odważajmniej się Krukowski.

— Łuczak nie przy koniach? — Krukowski usiłował wypowiedzieć to zdanie jak najbardziej złośliwie.

— Konie piękna rzecz — widzieliście tego nowego ogiera? — Co wy mówicie? Krukowski obruszył się. Konie stoja jak w malowanych pokojach, nogi trzeba wycierać, kiedy się do nich wchodzi, a popatrzenie na krowy!

— Z krowami u nas istotnie gorzej. — A widziacie. Powiadacie gorzej. Powinno być lepiej.

— Będzie lepiej.

— Czekaj tatka latka...

— Nauczmy się szybko od konia — wtrącił Szymański, aby po-drażnić nieco Krukowskiego.

— Jaka tam nauka!

— Choćby krzyżowanie.

— Krzyżowanie, owszem, dobra rzecz — potwierdził Krukowski.

— Trzeba poprawić rasę. Można będzie potem od was nabyć, co?

— To, to są PGR-y. Ale polepszyć bydlę możecie też sami. Krukowski machnął ręką powątpiewająco.

— Gdzie tam!

— Słyszeliście o zimnym wychowie?

Krukowski wziął garść siewki do ręki. Pachniała świeżą słomą i otrebami. — Dobrze — mruczał. Nie chciał otwarcie przyznać się, że nie słyszał dotychczas o zimnym wychowie.

— A wy stosujecie zimny wychów? — zagadnął po chwili, jak mu się zdawało, chytząc.

— Teraz odpowiedział oborowy Krukowski. — My tu nie stosujemy jeszcze.

— Ale zaprowadzimy w tym roku — uzupełnił Szymański. — W innych gospodarstwach już jest z najlepszymi wynikami.

— No, a chłop mógłby?

Szymański uśmiechnął się.

— Dlaczego nie. Zbudować klatkę, przetrzymać cię i od małego hartować. Trzymać na świeżym powietrzu. W zimie i w lecie. Bydlę rozwija się lepiej fizycznie, uodpornia na choroby, daje więcej mleka...

— He, he, wy, Krukowski, jeszcze nas ubiegacie! — śmiał się dobrodusze Krukowski. — Uważajcie tylko, żeby wyszło dobrze.

— Chodźmy, pokażę wam te nowe klatki na cielęta — Szymański podciągnął Krukowskiego w stronę warsztatów.

Dopiero teraz Krukowski mógł wyłożyć sprawę, z którą przyszedł. Obejrzał się dokoła. Jakby się bał świadców, i powiedział prawie szepem.

— Czy... nie można by wymienić u was ziarno? No, mało...

— Wy, poważnie mówicie?

— Gdyby się dało...

— Moi kochani, nasz PGR nastawiony jest na hodowlę koni. Mały procent zboża, jaki osiągamy, przekazujemy spółdzielniom...

— To się nie da zrobić?

— Wykluczone! Musi być gospodarka planowa. Gdyby tak każdy chciał...

— Ano, jak nie, to nie — Krukowski udał, że go ta odmowa nie zdziwiła. — Tylko ja mam jeszcze inny sposób.

— Czy... nie można by wymienić u was ziarno? No, mało...

— Wy, poważnie mówicie?

— Gdyby się dało...

— Moi kochani, nasz PGR nastawiony jest na hodowlę koni. Mały procent zboża, jaki osiągamy, przekazujemy spółdzielniom...

— To się nie da zrobić?

— Wykluczone! Musi być gospodarka planowa. Gdyby tak każdy chciał...

— Ano, jak nie, to nie — Krukowski udał, że go ta odmowa nie zdziwiła. — Tylko ja mam jeszcze inny sposób.

— Czy... nie można by wymienić u was ziarno? No, mało...

— Wy, poważnie mówicie?

— Gdyby się dało...

— Moi kochani, nasz PGR nastawiony jest na hodowlę koni. Mały procent zboża, jaki osiągamy, przekazujemy spółdzielniom...

— To się nie da zrobić?

— Wykluczone! Musi być gospodarka planowa. Gdyby tak każdy chciał...

— Ano, jak nie, to nie — Krukowski udał, że go ta odmowa nie zdziwiła. — Tylko ja mam jeszcze inny sposób.

— Czy... nie można by wymienić u was ziarno? No, mało...

— Wy, poważnie mówicie?

— Gdyby się dało...

— Moi kochani, nasz PGR nastawiony jest na hodowlę koni. Mały procent zboża, jaki osiągamy, przekazujemy spółdzielniom...

— To się nie da zrobić?

— Wykluczone! Musi być gospodarka planowa. Gdyby tak każdy chciał...

— Ano, jak nie, to nie — Krukowski udał, że go ta odmowa nie zdziwiła. — Tylko ja mam jeszcze inny sposób.

— Czy... nie można by wymienić u was ziarno? No, mało...

— Wy, poważnie mówicie?

— Gdyby się dało...

— Moi kochani, nasz PGR nastawiony jest na hodowlę koni. Mały procent zboża, jaki osiągamy, przekazujemy spółdzielniom...

— To się nie da zrobić?

— Wykluczone! Musi być gospodarka planowa. Gdyby tak każdy chciał...

— Ano, jak nie, to nie — Krukowski udał, że go ta odmowa nie zdziwiła. — Tylko ja mam jeszcze inny sposób.

— Czy... nie można by wymienić u was ziarno? No, mało...

— Wy, poważnie mówicie?

— Gdyby się dało...

— Moi kochani, nasz PGR nastawiony jest na hodowlę koni. Mały procent zboża, jaki osiągamy, przekazujemy spółdzielniom...

— To się nie da zrobić?

— Wykluczone! Musi być gospodarka planowa. Gdyby tak każdy chciał...

— Ano, jak nie, to nie — Krukowski udał, że go ta odmowa nie zdziwiła. — Tylko ja mam jeszcze inny sposób.

— Czy... nie można by wymienić u was ziarno? No, mało...

— Wy, poważnie mówicie?

— Gdyby się dało...

— Moi kochani, nasz PGR nastawiony jest na hodowlę koni. Mały procent zboża, jaki osiągamy, przekazujemy spółdzielniom...

— To się nie da zrobić?

— Wykluczone! Musi być gospodarka planowa. Gdyby tak każdy chciał...

— Ano, jak nie, to nie — Krukowski udał, że go ta odmowa nie zdziwiła. — Tylko ja mam jeszcze inny sposób.

— Czy... nie można by wymienić u was ziarno? No, mało...

— Wy, poważnie mówicie?

— Gdyby się dało...

— Moi kochani, nasz PGR nastawiony jest na hodowlę koni. Mały procent zboża, jaki osiągamy, przekazujemy spółdzielniom...

— To się nie da zrobić?

— Wykluczone! Musi być gospodarka planowa. Gdyby tak każdy chciał...

— Ano, jak nie, to nie — Krukowski udał, że go ta odmowa nie zdziwiła. — Tylko ja mam jeszcze inny sposób.

— Czy... nie można by wymienić u was ziarno? No, mało...

— Wy, poważnie mówicie?

— Gdyby się dało...

— Moi kochani, nasz PGR nastawiony jest na hodowlę koni. Mały procent zboża, jaki osiągamy, przekazujemy spółdzielniom...

— To się nie da zrobić?

— Wykluczone! Musi być gospodarka planowa. Gdyby tak każdy chciał...

— Po części... tak.

— A teraz: wyrzucić kulaków?

— Diable nasienie! — Krukowski uderzył się w pierś.

— Dlatego, że byli sprytniejsi, co? Że na wasze miejsce wszedł kto inny i ubiegł was w korzyściach? Tak?

Krukowski cofnął się o krok i zaniemówił.

— My tę sprawę załatwimy — Szymański starał się mówić łagodnie — Poruszymy na zebraniu. Pomoc wam damy. Ale czy wy jesteście ślepi? — zawołał nagle. — Popatrzcie przecież! Widać naszą gospodarkę! Zespołowa jest? Jest! Widać, jakie piony zbiera PGR, a jakie chlapi? Widać. Jak było robotnikom za dzie-dzica, a jak teraz, też widać. I jak teraz rządzą robotnicy — cholera! — też widać!

Kulakowski miał słusność. Krukowski nie zapomniał o zimnym wychowie. Kiedy upełnił się, że „pomoc polityczna” — jak to nazywają — nadejdzie dla Suchowa, zabrał się z zapalem do nowych reform gospodarczych u siebie. Wybudował klatkę i pod koniec lutego przeniósł dwa cielęta na dwór. Chłopi schodzili się do niego i podziwiali nową metodę chowu. Kisiel, do którego doszły już wieści o jakichś układach Krukowskiego z PGR-em, udawał zainteresowanie, wypytując o szczegóły i kiedy Krukowski powtarzał to, co usłyszał i wyczytał w bibliotece w Bukowie, bogacz orzekł z powagą: — Prawdziwie socjalistyczna metoda.

— A żebyś wiedział, żarnowiatku!

— Kobryś, sąsiad Krukowskiego nie lubił Kisiela i nadawał mu przezwisko „żarnowiatka”, a to od bogaczy zamieszujących niedaleko wsi Żarnów. Była to u Kobrysi największa obelga, jaką mógł rzucić na kogoś. Bogacze żarnowscy znani byli z różnego rodzaju oszustw. Cios był dobrze wymierzony. Kisiel wyczuł obrazę.

— Patrzcie! Znalazł się obrońca.

— W PGR-ze rzeczesz takim takie cielęta ważyły od 12 do 15 kg więcej od chowanych normalnie w oborze — perorował Krukowski.

— Kto sprawdził? Dlaczego Buków tego nie robi? — Nie wytrzymał Kisiel.

— Buków przechodzi na zimny wychów. A wy — zwrócił się do Kisiela — z socjalistyczną metodą nie wystakujecie. Daleko wam do tego. Medrek!

— Kisiel wsparł się pod bok.

— A wy czym to różnicie się ode mnie? Ta, te dwa, trzy hektary

my jedzenia. O, tu, patrzcie, pisze o tym — Krukowski pokazał numer „Przeglądu Rolniczego”, który mu przyniósł oborowy. Organizm więcej pracuje i wymaga lepszego pożywienia. Ja dawałem mniej, cielę osłabło, nie przykryłem raz otworu matą na noc i — uderzył palcami o stół — przeziebło się.

Spróbujcie z drugim — sztydził Kisiel.

— Spróbuję!

Kisiel zmienił ton.

— Wy, Krukowski, jesteście trochę, jakby to powiedzieć, łatwowierni. Ulegacie załatwo — spojrzaj w kierunku oborowego — obcy wpływ...

Kulakowski wstał. Przez chwilę wpatrywał się w twarz Kisiela.

— A wy komu ulegacie, Kisiel? Czasami nie żarnowiatko? — Była to aluzja do niedawnych aresztowań w Żarnowie. Odnaleziono podczas skupu zboża w trzech kulakach broń. Kisiel nie wytrzymał spojrzenia starego Kulakowskiego. Zmieszał się.

— Bo wy zaraz dosłownie bierzecie...

— Z takimi, jak wy, trzeba dosłownie. — Oborowemu ręce się trzęsły ze zdenerwowania — wy byście tu przynorobili porządek! — O wa, takie moje porządki, jak Krukowskiego.

— O, nie prawda — zaperył się Krukowski — ja jestem za postępem, a wy przeciwni.

— Władziecie go. Jak dopilnuje swego i wykalikulujesz — to masz. Za takim postępem to i ja jestem, ale do spółdzielni obaj przecież jeszcze się nie wybieramy. Więc, Krukowski, albo my razem postępowe chlapy, albo razem reakcja.

Krukowski milczał długą chwilę, wytrzymując natarcie wpatrzonych w niego oczu Kisiela i Kulakowskiego, wreszcie przemówił zwolna.

— Na to wychodzi, że my razem. A przecie, Kisiel, wy ze mnie kpicie i mnie szkodzicie, a ja was... ścierpieć nie mogę. Takie to nasze „razem”.

— I, czyste przywidzenie. Dlatego zaprzeczam. Ale czy myślimy obaj, nie gospodarze? Spróbujcie, Krukowski, zaprzeczyci! To jest nasze razem.

— Cholera z takim „razem”. Jakem wyciągnął na piaskach z hektara 18 m. pszenicy, toście mnie od bloku odmówili, strasząc kołchozem i nie mam teraz selektywnego ziarna, znakiem tego nie chcecie, aby mi się lepiej dazyło. Tak to gospodarz gospodarzowi! Jakem cielęta wystawił na zimny wychów, toście wydziliwali, a teraz chcecie mnie zawrócić, po co? Aby mi gorszą chudobę i mniej mleka. Takie to wasze gospodarstwo „razem”!

— No, dalej, Krukowski — zagroził oborowy. — Mów, mów... to jeszcze nie koniec.

— A co jeszcze?

— Godaj się jak ciebie Kisiel na głupia wystawia to tylko tobie szkodzi?

— Ma się wiedzieć, że nie tylko mnie. Kisielowi nie podoba się, że jestem „nowatorem”, bo ja nie chcę wam tego dla siebie, owszem, niech inni biorą przykład. Ale jak nie wy ciągnę znów pszenicy, jakbym się cefnął z nowego wychowu cieląt, to innych zahamuje i nie polepszą sobie. Takie to Kisiela gospodarstwo „razem”.

— Jeszcze gadaj!

— Jeszcze?

— A skąd bierzecie pomysły ulepszeń?

— No, od Was, z PGR-u.

— To znaczy, skąd?

— A, o to Wam, Kulakowski, idzie? Ze ze „socjalistycznego gospodarstwa”?

Kisiel przybliżył się do Krukowskiego i na moment przesłaniając lampę zaszywał.

To ja cie na głupca robie, czy Kulakowski? Tylko patrz, jak diabłu duszę oddasz i — głośnie, coraz głośnie — Krukowski — spółdzielca, he, he, he, Krukowski — nie gospodarz, Krukowski, polski Lysenko w kołchozie Suchodupie. No, Krukowski — wóz albo przewóz! A co, tchórz cie obiecał? Stulisz zaraz uszy i sam zawrócisz. A widział, że bliższa cięta koszuła, gospodarze, gospodarze bliżsi!

Krukowski cofnął się o krok i zbliżał strasznie.

— Ty mnie draniu nie strasz tym, co nie twoje i czego jeszcze nie ma. Tyś przed trzema laty rozparcelował się w rodzinie i teraz żeś niby też tylko średniak jak i ja. Z dwudziestu hektarów na dziesięć. Jak ja bym oddał moim 7, to jeszcze by brakowało trzech. Czyli, że ty lekko fuł 10, a ja w portki sram przed utratą 7-miu? Przejrzałem cie. Ty się możesz obejść bez dziesięciu lat w naszych oczach, ale do kleszeń kładziesz z dwudziestu — to twoja namłotność. A moja, że jestem „nowatorem”. Rozumiesz? Muszę wymyślać i ulepszać, ciągnie mnie do tego. A kto mi pomaga, a kto przeszkadza? Wymyślanie i mnie przeszkadza i ludziom z moich wynalazków nie dajecie korzystać, a PGR pomaga mi i chce, żeby wieś miała z tego korzyść.

Ja się bałem, ja się i teraz jeszcze boję spółdzielni, choć sam dobrze nie wiem dlaczego. Ale wiem, gdzie mnie zastraszyć nie można. Za to gotów jestem dać się porać. Za tego dra-nia Lysenka w Suchodupie. Poczekał tylko, jak mnie do bloku przyjmą, a że u ludzi jako „nowator” mam jakie takie uznanie, to słów tak dopilnuję, tak je w gromadzie rokręczę, że ty zobaczysz, co to znaczy Lysenko w Suchodupie! Suche dupy tylko z was zostają, kulaki!

— Normy go zgubiły.

Kisiel przybrał poważny wyraz twarzy.

— Rozmawiacie o stracie?

— Stracie? Pewnie. Że stracie — podchwycił Krukowski. Była zła na meża za ostatnie „nowatorstwo”.

— No i patrzcie, jaki wynik! — potwierdził Kisiel z ubolewaniem.

Oborowy zdjął okulary i spojrział bystro na Kisiela.

— Różnie można na to patrzeć.

— Strata strata. Cielęta nikt nie wskrzesi.

— I, niewielka. Skórę sprzedalem, a mięso! Nie chorowało przecież — usiłował się bronić Krukowski.

— No tak! Ale słuchać nie chce. liscie. Teraz nabieracie rozumu.

— Gdybym był usłuchał Szymańskiego, do tego by nie doszło, Kisiel wzruszył ramionami.

— Przecież go usłuchaliście — powiedział sztydził.

— Nie! Chciałem sam dojść do czegoś. Powinienem dać większe nor-

my jedzenia. O, tu, patrzcie, pisze o tym — Krukowski pokazał numer „Przeglądu Rolniczego”, który mu przyniósł oborowy. Organizm więcej pracuje i wymaga lepszego pożywienia. Ja dawałem mniej, cielę osłabło, nie przykryłem raz otworu matą na noc i — uderzył palcami o stół — przeziebło się.

Spróbujcie z drugim — sztydził Kisiel.

— Spróbuję!

Kisiel zmienił ton.

— Wy, Krukowski, jesteście trochę, jakby to powiedzieć, łatwowierni. Ulegacie załatwo — spojrzaj w kierunku oborowego — obcy wpływ...

Kulakowski wstał. Przez chwilę wpatrywał się w twarz Kisiela.

— A wy komu ulegacie, Kisiel? Czasami nie żarnowiatko? — Była to aluzja do niedawnych aresztowań w Żarnowie. Odnaleziono podczas skupu zboża w trzech kulakach broń. Kisiel nie wytrzymał spojrzenia starego Kulakowskiego. Zmieszał się.

— Bo wy zaraz dosłownie bierzecie...

tłumaczył WŁADYSŁAW SMÓLSKI

KOMUNA PARYSKA

EUGENIUSZ POTTIER

ROCZNICA 18 MARCA 1871 R.

Gdy bieda ciągle dręczy nas,
Połączmy dłonie i szklance
I serca, bracia, złóżmy wraz,
Ażby święcić tę rocznicę!

Narodzie, dzień to wielki twój,
Gdy uniknąłeś podłej zdrady!
Niech wspomni wróg, jak wszcząwszy bój,
Z kamieni wstały barykady.
Niechaj tych wspomnień barwny młot,
Ożywi blaskiem oko starca!
W przyszłości wiedzie jasny świt,
Ten dzień „18-go marca“.

Szemrały wślekle bataliony,
Widząc, jak rząd je zdradzić chciał.
Zaś tłum z kulakiem podniesionym
Nie dał odebrać sobie dział.
Przed gniewem ludu podał tył
Rząd niecny „zdrady narodowej“
I Paryż, pełen nowych sił,
Z pęt wolny, począł życie nowe.

To dzień był bezmiennych mas,
Błękitnobluzych dyktatury.
Wiosenny ją przywitał czas,
Śmiały się do niej, niebo, mury,
I twoja pamięć niechaj trwa
Rewolucyjnych tłumów szlabie.
Tyś to przez przegnal, o, C. K.
Kapitulantów duchem słabych.

Przed Ratusz ciągną mnogie tłumy.
Gdzie pełen życia, szczęśliwy, rad
Paryż na cały wielki świat
Ogłasza wybór swej Komuny.
A wtedy dział się ozwał huk:
— Zwycięzcy knechtów kapitału!
I w blasku słońca jasnych strug
Brzmiał milionowy głos zapalu.

O, jakże pięknie marzec kwitnął,
Budząc narody w wiosny czas,
Chwiał się sztandarów złoty las,
Na tle rozśmianych nieb błękitnych.
Tak się czewienia rozłopotał,
Rozśpiewał się na cały glob.
Aż promieniami dotarł w głąb
Czarnych podziemi, mroków kopalń.

Gdy bieda ciągle dręczy nas,
Połączmy dłonie i szklance
I serca, bracia, złóżmy wraz,
Ażby święcić tę rocznicę!

ANONIM

PIEŚŃ Z SATORY

(Fragment)

Na nutę z „Pięknej Digeon“.

Trzy doki — jedna turma
(Ech, choćby w tan,
Nieboże...)
Trzy doki — jedna turma
W niej federatów hurma.
Tak siedzą i czekają,
W milczeniu wspominają
Swe boje, dzielny marsz,
Galonów blask i szarż.
I pod brzęk ich kajdanów
Brzmi nasza Marsylianka.

Turma w nas dławi dech,
(Ech, choćby w tan,
Nieboże...)
Turma w nas dławi dech,
A Thiersa dusi śmiech.
Z naszej się nędzy śmieje
„Zebranie hreczkosiejów“.
W tryumfie szczydzi wróg
Ze skutych naszych nóg.
I zbiera się bez żalu
Na sesję w Wersalu.

I płyną z gazet szmat
(Ech, choćby w tan,
Nieboże...)
I płyną z gazet szmat
Kłamstwa na cały świat.
Obżarci, pijanice!
Wolają ich stronicę.
A sami w tenże czas
Spijają szampian wraz,
Niech chłwa w Wersalu wińsko
Wersalska banda świńska!

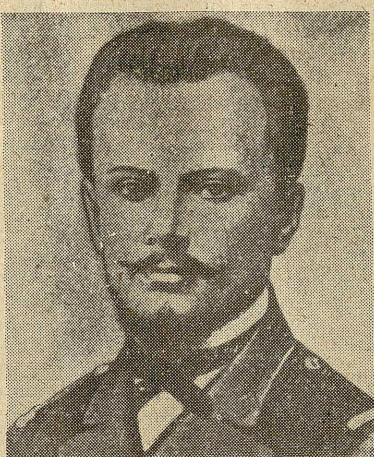
A gdyby właśnie dziś
(Ech, choćby w tan,
Nieboże...)
A gdyby właśnie dziś
Zwycięzcą zostałbyś,
Chór tychże żurnalistów
Pod maską komunistów
Służalco wnet by piał
Heroizm naszych chwał.
A napadłby wśród krzyków
Pobitych wersalczyków.

Co da nam dziś Gambetta?
(Ech, choćby w tan,
Nieboże...)
Co da nam dziś Gambetta?
Czy też i on nas sprzeda?
Niech strzela w nich słowami,
Jak z armat kartaczami.
Niech budzi wstyd i strach
W królewskich podłych psach.
Niech zadrza niecne panki
Na dźwięk tej Marsylianki!

Gdybyś ty ludu wstał,
(Ech, choćby w tan,
Nieboże...)
Gdybyś ty ludu wstał,
Frygijski kolkap dał
Tej wielkiej republice,
Powiedział podłej klacie:
— Zmłatajcie, gbury, siup!
Do domu! Sadzić bób!
Już dosyć z tym siedzeniem!
„Wersalskim Zgromadzeniem“!



Karol Delescluze



Jarosław Dąbrowski



Luiza Michel

JEN BAPTYSTA CLÉMENT

KAPITAN „POD MUR“

— Pod mur!
Rzuca kapitan.
Gęba zapita,
Wzrok omgłił dur...
— Pod mur!

— Pan kto? — Przepraszam, pomyliłem.
Pan głodny był, chciało się jeść?
Wszak wykiwanym być nie było?
Pan wolność kocha, no i cześć?
Ja — także! Obajśmy męczęcyżni
Choć mnie wykończą tu na raz,
Lecz wszak w poglądach myśmy bliźni...
Niech stukną też i was!
Kto ja? — Republikanin!
Wiadomo — tobrzy, pijani!

— Pod mur!
Rzuca kapitan.
Gęba zapita,
Wzrok omgłił dur...
— Pod mur!

— A pan kto? — Ja z nim nie do pary
I wycierpiałem się, że ach!
Od Saint-Bernarda jam wikary.
Przez tydzień w szafie trząst mna strach.
— A pan kto jesteś? — Szary człowiek,
Pracował, plodził dzieci, żył.
Czas już odpocząć. Ładny to wiek!
Lat siedemdziesiąt... Brak mi sił
Doszedłem już do kresu.
Strzelajcież do stu biesów!

— Pod mur!
Rzuca kapitan.
Gęba zapita,
Wzrok omgłił dur...
— Pod mur!

— A pan co robił? — Oto listy!
Tej dzicy nazwisk mam ze sto:
To komunisci, komuniski...
Wykończyć przedzej trzeba to!
— A pani? — oficerska wdowa,
Rok temu zginął pod Bourget.

bis CLOVIS GUGUES

CO ŚPIEWALIŚMY W WIĘZIENIU?

Na straszną kaźnię w Satory,
Gdzie czerw się wpija w żywe ciało,
Na nocne salwy, kiedy drży
Sklepienie turny od rozstrzałów.
Na tłum męczęński w śmierci śnie
Bojowców, których salwa kładzie,
Jak w Pharo mężny padł Cremieux
I Delescluze na barykadzie.

Na wszystko, co tak święcie czcimy,
Na bruk Paryża złany krwią,
Na mekę tych, co w turmie tkwią,
Komuno, ciebie my pomścimy,
Dziś błogosławiąc pamięć twą.

Lud pracujący z wieków w wiek
Pod jarzmem życia lata skracal:
Za feudałem burżu szedł,
Niewola, lub najemna praca.
Za czerwem marzec idzie w ślad:
I znów sprzedają nas z trybuny:
Za Cavegnac'em — nowy kat,
Thiers, co zatopił w krwi Komunę.

Na wszystko, co tak święcie czcimy itd.

Dzieci plecami pod mur
Stawiający — strzelać rozkazali.
Za co? Rodziny swe i dwór,
Porządek tym uratowali.
W nieznanych miejscach stosi ciał
Bez znaku pogrzebałi skrycie
I upojeni fałszem chwał,
Szydzą z tych, którym wzięli życie.

Na wszystko, co tak święcie czcimy itd.

Ze zakładników w krwawe dnie
Rozstrzelał Paryż śmiercią pijany,
Kanała krwawa, Galliffe,
Chce pomścić się za rozstrzelanych.
Trzydzieści zaś tysięcy tych,
Których mogiły toczy robak?
Li kwiaty oplakują ich,
I jutrznia rosą skrapla w grobach.

Na wszystko, co tak święcie czcimy itd.

Kiedy się salw rozlegał huk
Egzekucyjny z koszar Laubeau,
Radośnie tryumfował wróg,
A Paryż odział się żałobą.

Mą boleść trudno oddać słowem
Tu portret, gdy pan chce.
— Jam w spisku... zbior wersalski...
Nie widzi pan opaski?

— Pod mur!
Rzuca kapitan.
Gęba zapita,
Wzrok omgłił dur...
— Pod mur!

— A pan kto jesteś? — Rany cztery,
Dwa razy urlop, krzyże trzy,
Alzacyk jestem i weteran.
Na me wspomnienie Niemiec drży.
— A pani? — Miłosierdzia siostra.
Opatrywałam setki ran,
Kiedy na chwilę umilkł obstrzał.

I tych i tych... — A pan?
— Jam Jaś, Walczyłem. Skażcie!
Mam pełnych lat trzydzieści.

— Pod mur!
Rzuca kapitan.
Gęba zapita,
Wzrok omgłił dur...
— Pod mur!

— A pani? — Wczoraj mi zastrzelili
Starego ojca jakiś zwierz.
Dziś więc żalobny noszę welon.
Czyż winna przeto jestem też?
— A pan co robił? — Ty, padalce!
Dziuraw... mi skórę, przedzej, psie!
Jeszcze mnie pytasz? Wszakżem walczył
Z orężem wzięto mnie.
Jeszcze ci w gębę plunę.
Hurra! — na cześć komuny!

— Pod mur!
Rzuca kapitan.
Gęba zapita,
Wzrok omgłił dur...
— Pod mur!

„Tu jestem!“ — Śmierć ścinając kłosa
Wolala, syta krwawym plonem.
I niby w calun trupów stos
Rzucano w wapno niegaszone.

Na wszystko, co tak święcie czcimy itd.

Zoldacy, franci z wyższych sfer,
Cala kanała wyzłocona,
Co dziś wydała nas na zer
Zaciekłym psom Napoleona.
A czy kto sądził ichórzów sztab,
Co w strachu kraj dał wrogom cały,
I kiedy głos podnosił szwab,
Kepi na ucho im spadały.

Na wszystko, co tak święcie czcimy itd.

A czegoż lud właściwie chciał?
Byśmy walczyli jak przodkowie,
Aby przed blichtrzem pańskich chwał
Nie trzeba było schylać głowy,
By nam nie mogły zamknąć ust
Różne królewskie wysokości,
I by praw naszych bronić móc
Mając ładunki w gotowości.

Na wszystko, co tak święcie czcimy itd.

Wy, coście skryli się do dziur,
Kiedy na Paryż wróg uderzył,
Republikańskich blaznów chór,
Wrzaskliwi trybun bohaterzy!
Zostawcie nam decyzję chwili,
Komuna mędrza w rzeczy tej:
Myśmy republikę ocalili,
A coście wy zrobili z niej?

Na wszystko, co tak święcie czcimy itd.

Pobojowiska wielkich bitw
Często nas uczą patrzeć na świat:
Gdzie ciekła krew, tam ideł świt,
Tam myśli, uczuć rój wyrasta.
I my wierzymy, przyjdzie czas,
Gdy wróci ku nam gołąb biały,
I z nad tych mogił równość wraz
Na świat się rozprzestrzeni cały.

Na wszystko, co tak święcie czcimy,
Na bruk Paryża złany krwią,
Na mekę tych, co w turmie tkwią,
Komuno, ciebie my pomścimy,
Dziś błogosławiąc pamięć twą.

LUIZA MICHEL

TANIEC GRANATOW

Braciom — zesłańcom!

Przy kartaczownie groźnym szczęku,
Męstwo w wir bitwy pedzi nas.
Na bój, przy Marsylianki dźwiękach!
Naprzód, o bracia! Naprzód wraz!
Lwy nasze w ogień bitwy wala,
Monmartu strzałem wórzy dal,
Nie ośać tobie się, w Wersalu,
Sztormowi rewolucji fall!

Na bój, na bój pod luno krwawych flag!
Zwycięstwa znak!
Odzis od płomiennych zórz isni horyzontu szlak.

O bracia, nasze matki, wdowy,
Kto żyw, niech weźmie pod swój dach!
Uścisł śmierci — nam nie strach!
My salut ślemy jej bojowy.
Tak w dymie bitwy, o Monmartre,
Kocham twych synów groźny mur,
Ich oczu blask, płomienne twarze
I bohaterki w ogniu szturm!

Na bój, na bój! Pod wichrem krwawych flag
Zwycięstwa znak!
Odzis od płomiennych zórz isni horyzontu szlak.

EUGENIUSZ CHATELEIN

KOMUNA NIECHAJ ŻYJE!

Wesołym, rzeźki — jasna twarz
Zdrów jestem duszą, ciałem.
I robotniczy sztandar nasz
Miliuje sercem całym.
Czerwony, niby krew z mych żył,
Przeło go kocham z całych sił.

Komuna niechaj żyje!
Chłopaki,
Komuna niechaj żyje!

Najmilszy dla mnie z wszystkich flag
Powstańca sztandar hardy.
To robotniczej walki znak,
Emblemat komunardów.
Jasno czerwona flaga ma,
Niechaj cię każdy w sercu ma.

Komuna niechaj żyje! itd.

Z serca nie znoszę ludzi złych,
Co dzieci dręczą, biją.
Jam zawsze był dla szkrabów tych
Najlepszą kompaniją.
W przyjaźni z nimi zawsze żył —
Razem śpiewaliśmy co sił.

Komuna niechaj żyje! itd.

Komuna, co takiego jest,
Nadstawcie pilnie ucha!
Dziś opowiedzieć o niej chcę
Mym wszystkim małym zuchom.
Komuna — to w braterstwie żył!
Wyrośniesz zaś — tyranów bij.

Komuna niechaj żyje! itd.

By nasza Pospolita Rzecz
Wzmocniła rząd i prawo,
Musimy królów przegnać precz,
Z ich całą kliką krwawą.
Zandarmów ani szpiegów, ni
Tej całej hańby naszych dni!

Komuna niechaj żyje! itd.

I — wierzę — przyjdzie jeszcze czas,
Kiedy na całym świecie
Nie ujrzy nigdy żaden z was
Bosych, obdartych dzieci.
Chleba i pracy aż po nos;
Każdy wesolo śpiewa w głos:

Komuna niechaj żyje,
Chłopaki,
Komuna niechaj żyje!

L. MARCHAND

CHWAŁA BOHATEROM KOMUNY

Poleżny armał grom
Ze wszystkich słychać stron.
Ten toskot nam ogłasza
Komuny groźny zryw.
Hej, bracia, dobra nasza!
Za oręż bierz kto żyw!
Naprzód!
Już bój wybucha!
W Paryżu zawierucha.
Naprzód!
By Wersal struchlał!
Naprzód!

Niech żyje nam swoboda!
O równość dla narodów.
Patrzcie, u miasta wrót,
Już bratnia krew przelana.
Naprzód! Niech gniewny lud
Krew pomści na tyranach.
Naprzód!

Niech grzmia pioruny!
Wolności to zwiastuny.
Naprzód!
Za pokój! Za Komunę!
Naprzód!

Gdy tylko bitwy wzlot
Kajdanów skruszy spłot,
Połączmy dłonie wraz,
O bracia robotnicy!
Do pracy! bliski czas,
Gdy dźwigniem znowu stolicę.
Naprzód!

Niech grzmia pioruny!
Wolności to zwiastuny.
Naprzód!
Za pokój, za Komunę!
Naprzód!

Przełożył: Władysław Smólski

Danuta Brzozowska

Realistyczna powieść Dygasińskiego

ADOLFA Dygasińskiego można u nas nazwać pisarzem nieznanym. Nie miał szczęścia ani do wydawców, ani do krytyków. Są w jego dorobku utwory, które nie wyszły poza pierwsze wydania, i jako rzadkości bibliograficzne stanowią zupełną niewiadomą nawet dla ludzi obeznanych z literaturą. Jeżeli zaś o krytyki chodzi, to poza jedną większą pracą („Dramat Dygasińskiego” Z. Szwey-

od noskowskiej szlachty, która szuka skarbów w rzekomych poariańskich lochach, czeka na wielkie wygrane loteryjne, organizuje poszukiwania archeologiczne, by zaimponować sąsodom (choć o archeologii nie ma zielonego pojęcia), i dla wszystkich tych fantazji gotowa jest zawsze zaniedbać gospodarkę — „podstawę bytu”.

W obrazie upadku małych dworów zbyt może podrzędną rolę przy-

Szczęściem nie narzucają się one tu wyraźnie, deklaratywnie (jak to ma miejsce np. w noweli „Na pańskim dworze” — obrazie upadku arystokracji) — i dlatego krytyka rozkładającej się warstwy utrzymana jest w granicach realizmu. Podkreślić warto, że krytyka ta, jakkolwiek przede wszystkim obyczajowa, chwilami wkracza również i na tory społeczne: Dygasiński nie byłby sobą, gdyby nie ukazał losu służby folwarcznej. Temat ten, jeden z najczęstszych u pisarza, opracowywany w nieskończonej ilości noweli i opowiadań, ma u niego wybitną demaskatorską siłę. We „Właścicielach” sprawa służby występuje raczej marginesowo, ale mimo to postać Franki gosiarki, brudnej, obdartej, wiecz- nie zastraszona i bity niemilosierdzie przez dziedzica opiewa dostateczną wymowę oskarżenia.

W pełnym pasji ataku na kler wi- dać znowu wpływ „Głosu”. W za- dym z utworów, ani przedtem, ani potem, nie odsoni Dygasiński z równą bezkompromisowością klasowej pozycji plebanii i „świętobliwego wy- zysku”. Oto charakterystyka proboszcza: „...ksiądz w Plichtowie nie był to ani żaden asceta, ani też ja- kiś prostoduszny proboszcz. Żył on sobie, jak to mówią, porządnie; zawsze u niego można było dobrze zjeść i wypić, tylko, że ksiądz nie z każdym jadł i pił, ponieważ prze- stawał on głównie ze szlachecką arystokracją tych okolic. „Mieszkał sobie bardzo przyjemnie, trzymał pa- rę dzielnych koni, angielskie szory, furmana w piaskowego koloru libierii. „Lubił dobrą kuchnię i po- siadał w swej piwniczce wcale niezłe zapasy rozmaitych w dobrym ga- tunku trunków. Przecież ksiądz może być podobny do innych ludzi. Utrzy- mywał on nawet wśród szlachty do- bre wyobrażenie o godności kleru. O ile atoli ksiądz Ziobski był wy- rozumiałym pasterzem dla samego siebie i dla owieczek, z którymi żył w najbliższych stosunkach, o tyle w ryzie trzymał naród prosty i ludzi pospolitych, a nie przebaczał ni- komu, kto mu śmiał wejść w drogę. „Z nauk jego chłopci niewiele zwy- kle odnosili korzyści...” Nie dzi- wnego, że nie odnosił. Ponure i gro- teskowe jednocześnie obrazy mak- pieknych, które roztacza światowy proboszcz przed swymi owieczkami, są celowo stylizowane przez Dy- gasińskiego w duchu „średniowiecz- no-barokowym (przypatrz się siedem- nastoletniemu źródło, na którym się opiera). Chodziło o wykanie, że wbrew wszelkim pozorom kler tkwi ciągle w fanatyzmie i oderwaniu

od konkretnej, współczesnej rzeczy- wistości.

Małym arcydziełem ironii jest ów opis kazania, którego wszystkie wywody i zakazy pasujące tak do twardej i surowej egzystencji chłop- skiej jak przysłowiowy kwiatek do kożucha; (np. „Grzech obżarstwa, nie szanującego piątków, ani suchych dni, niezmiernie oburzył na siebie tych wszystkich pobożnych, którzy jak rok długi nie jadal mięsa”). Ale bo też nie o religijne podnie- sienie chłopów tu chodziło, tylko o personalne rozrywki ze szlachtą, nie chcąc uznać autorytetu pro- boszcza. I chłopci nie są w ciem- nicy, rozumieją to doskonale, świet- nie też zdają sobie sprawę z klaso- wego sensu księzkowskich nauk.

— Słyszeliście, kumie, toć jęgo- mość dzisiaj skazował naszych cia- rachów het do piekła! Wdno sę o coś poprzytykali ze sobą.

— Ano ino, musi, bo przedtem, to tyła chłopów zawdy taraband do pie- kła. Oj, pewnikiem Tatarczany cosik mu zmalował, — odrzekł soltyś.

— Niech się ta coniebaż pogryza, to chłop będzie miał większy spokój, nim się opamiętają! — zawołał Ma- ciech Stupik.

— Mysiła, co chłopci bez to ponda do nęba? — mówił z ironią Dziura.

— Nie puszcza on, nie!

Ci chłopci noskowicy stanowią jed- ną, zwartą, solidarną masę. Dyga- siński nie ukazuje zroznicowania so- łecznego wsi i robi to celowo, bo ch- dzi mu o ukazanie „rdzenia i przy- szłości narodu”, ludomana bardzo niechętnie spoglądał na jakieś kon- flikty wewnętrzno-chłopskie. Zdawało by się, że stanowisko to musi wpły- nać negatywnie na prawdę opisywa- nej rzeczywistości. W tym wypadku jednak jest inaczej, a to z tej przy- czyny, że Dygasiński bardzo szcze- śliwie wybiera teren swojej powieści. Noskowice to wieś uboga, drobnorol- na, ściśnięta do ostatnich granic między trzema większymi majątkami szlacheckimi. Zaden z tych dwu- i trzy-morgowych gospodarzy nie jest, rzeczą jasną, samow; starczal- ny; wszyscy by żyć, muszą się wynaj- mować do roboty „na pańskim”. Nie więc dziwnego, że chłopcy występują zgodnie przeciw dworom, czy to w sprawach służebności, czy jakichkol- wiek innych, ryzykownych nieraz pod względem prawnym przedsię- wzięciach. W uporczywej walce prze- ciw pauperyzacji solidarności dzia- łania stanowi często ich jedyną broń.

Z faktu, że realizm Dygasińskiego nie zarejestrował konfliktów klaso- wych wiejskich, nie wynika wcale, by zagadnienie było dla pisarza nie-

dostępne. „Właściele” nie demon- strują wprawdzie rozwarstwienia so- łecznego wsi, jako formy już istnieją- cej, niemniej pokazują je w zarodku niejako, in statu nascendi. Oto Szymon Dziura, chłewy, egoistyczny, pchawio- ny skrupułów chłop, główny rzecznik gromady i ze wszystkich zwycięstw gromady głównie odnoszący korzyści — jesteśmy świadkami wzrastania jego majątku i znaczenia. Pomaga mu szczęśliwy przypadek: znalezienie starej ryckiej zbroi, za którą zgarn- a pokaźną ilość pieniędzy i kupuje ziemię. Zyskuje jeszcze we wszyst- kich sporach z dziedzicami noskowic- kimi, zyskuje w układach z ich „a- stępca, hrabią Krajpojskim” — „jak mamy wszelkie podstawy sądzić — będzie zyskiwał nadal. Ważne jest, że potrafił sobie zaskarbić przyjaźń hrabiego, twórcy noskowskiego laty- fundium. Proboszcz parafii oddał u Dziury będzie święcił wielkanocne wiktuały, dokąd przenosi tę uroczy- stość z tracącego znaczenie szlach- ckiego dworku. Również więc pleba- nią sankcjonuje swoim autorytetem przewagę bogactwa się chłopca.

Cóż więc widzimy? To już coś niby początki sojuszu wielkiej wsi- ności, kleru — i kulaka, który się staje potrzebny klasom wyzyskują- cym i którego zaczyna się kocieto- wać. Teraz czekamy tylko, kiedy Dziura znajdzie się w konflikcie z drobnorolną społecznością chłopską. Bo przecież przestał już mieć z nią wspólne interesy...

Tego etapu już jednak Dygasiń- ski nie pokazał z przyczyn, które starałem się ustalić poprzednio. Stworzywszy kapitalną, realistyczną sylwetkę kulaczającego chłopca, wy- gląda, jakby sam z niej nie był za-adowolony.

Świadomo przedstawił go tak a nie inaczej, o czym pisze wyraźnie: „Nie potrzeba żadnej przymieszki roman- tyzmu, apoteozującego cechy chłop- skie. Chłop jest takim, jakim jest: chłwiecym, przesadnym, ograniczonym”, a dalej: „Chłop jest nienasycony, bo nienasyconym być musi.” Ale teraz spostrzega, że postać Dziury jest de- cydująco antypatyczna i wcale nie- dobrze służy rozbudowaniu kultu chłopca, „jako takiego”, i wierze, że on stworzy lepszą przyszłość dla Polski. Zbyt słabą pożywką dla wiary takiej jest symboliczna scena, kiedy to Dziura w starym, szlacheckim hełmie na głowie i starym mieczem w garści odczuwa nagle w sobie jakieś prastare ryckie instynkty.

„Zoska — zawołał Dziura, wywi- ając mieczem na prawo i na lewo — Ja jestem taki, że jak mi ręka zaświerbi do bicia, to Chryste Pa-

niel... Patrzajno się, ta siabla je cięż- kawa, nikiej ćwiartka żyta, a lata mi wele głowy jak chabina... Oj, zdziliłbym kogo po tbie, żeby się tak ze mną chciał poprobować...” Mi- tygowany przez żonę, nie opanowuje się wcale.

„Zebym ja był wojakiem, tobym tak walił nieprzyjaciół po łbach, ażby trzeszczały! — wołał Dziura, zapa- lając się coraz bardziej. Poskoczył ku krzakom jałowcu i ścinał jeden po drugim, to znowu rzucał się na ślany wawozu i rabał je, choć prze- cie był zmęczony robotą trwającą od rana.”

Intencja wprowadzenia tego frag- mentu jest zupełnie jasna. Dygasiń- ski chce zademonstrować „nowo- czesnego ryckera życia”, który zajmie miejsce szlachty w przyszłym spo- łeczeństwie i przejmie jej najlepsze tradycje, a doda nowe cenne war- tości. Siłę witalną chłopskiej prze- ciwstawia autor „miekkie i słabe, prawie niewieście” dźwięki głosu hra- biego Krajpojskiego i jego rękę „ma- lenką, delikatną, której białosł wpa- da w błękit”. Był to zresztą typowy chwyt używany i nadużywany póź- niej przez całą modernistyczną lite- raturę krzepy chłopskiej.

Cóż jeszcze robi autor, by jego chłopski bohater w sumie wywarł dobre wrażenie na czytelniku? Wi- dzimy to pod sam koniec powieści. Szymon Dziura urasta do godności Jakiegoś idealnego, patriarchalnego gospodarza, przysparzającego przesła- dowane sieroty i bezdomne psy. Dy- gasiński przyćmiewa u niego reali- styczną wyrazistość rysów, łagodzi drapieżną chciwość, robi go nagle wyrazistym „idealnym uczuć” lud- kich. Ludomana często posługiwała się sloganem o drodze chłopca, prowa- dzącej do zubożenia się do kultury duchowej.

W ostatnich partiach książki ak- centy chłopomańskie wybijają się na plan pierwszy, ale jest to bodaj ich jedyne we „Właścicielach” zwy- cięstwo nad realizmem. Eliminuje- my oczywiście częste wypowiedzi odautorskie, bo one nigdy nie są w utworach zasadnicze, a częstokro- wręcz sprzeczne z samodzielną wy- mową powieściowych realiów. Pisarz i wtedy może odnieść pełny sukces artystyczny, gdy wbrew sobie na- wet, wbrew własnym nastawieniom i tendencji ukazuje prawdziwy obraz życia (cytowany wielokrotnie przy- kład Balzaca). Odnosno do Dyga- sińskiego znowu przypomnieć trzeba, że omawiana powieść pisana była z tym głównym celem, by ukazać triumf zdobywczej siły chłopskiej nad murującą szlachtą. Niebezpieczeń- stwo zatacenia realistycznych propo- rycji było bardzo duże. I mimo to, autor pozabawia się tak cennego w danym wypadku atutu, jakim jest — parcelacja majątku szlacheckiego! W wyniku ustąpienia szlachty ogół chłopski zyskuje jedynie kawał za- chwasczonego pastwiska — właści- wie nieużytków — którego to faktu nie omieszcza Dygasiński sztucznie wyduć w komentarzu. Ale jest duża zasługa jego realistycznej troski, że nie wprowadza mechanicznie par- celacji na większą skalę do środowiska, w którym byłaby ona tendencyjnym zafałszowaniem, a nie wyrazem ży- ciowej prawdy. Małorolna, na pogr- nieciu nędzy znajdująca się wieś nie ma żadnych środków na kupno ziem, a los Dziury jest w tych warunkach wyjątkowy. Z posiadłości noskowic- kich wypiera drobna szlachta nie- chłop, ale wielka własność. Trzeci to czynnik, który ukazuje Dygasiń- ski w swoim społecznym obrazie.

W poprzedniej swojej twórczości pisarz często wyrażał własny kształt- owany na naturalizmie pogląd na arystokrację. Jest ona, podobnie jak każda klasa społeczna, gatunkiem w znaczeniu po prostu przyrodniczym. Gatunek ten, niegdyś wielki i wspa- niały, w wyniku przeobrażeń świa- ta, zaczął karłowacieć i degenero- wać się, jak wszystko stare, nie mo- gące przystosować się do nowych warunków. W całej sprawie widział Dygasiński tragizm i trudno stwier- dzić, czy się kiedyś od tego mitolo- gizmowa feudalnych warstw wyzy- skujących uwolnił. Arystokracja ustę- puje z pola: wyrazem tego jest jej zajęcie się głównie dobrami „ideal- nymi”, podczas gdy chłop, jak wszy- scy protoplaści nowych kultur, abąc musi przede wszystkim o materialną podstawę bytu. Spodziewać więc by się można, że postać magnata w po- wieści będzie w tym duchu przesty- lizowana, że zrobi go Dygasiński człowiekiem niepraktycznym, może lekkośmiałym flakantem, zapatrzo- nym w przeszłość i nią żyjącym. Tymczasem nie. Jasny pan, coprawda, nabywa Noskowice dla fantazji, w imię „dóbr idealnych” (bo znalazł tam grób swego przodka), ale wcale to nie znaczy, by się nie orientował doskonale w materialnych interesach, czy robił jakieś nieprzemysłane kroki. Z chłopami oblicza się bardzo skrupulatnie, a żadne z jego postu- pnie nie narusza sprawy zasadniczej: racjonalnej gospodarki latyfundiów. Podstawą społecznego znaczenia hra- biego pozostaje majątek, pomnożony wielokrotnie przez kapitalizację. Jakże mierznie wygląda przy tym bogact- wie magnackim wszelkie osiągnię- cia chłopów, którzy swą siłą mieli takim właśnie zagrażać. „Kawał zie- mi zapuszczony, surowej, jak sami chłopcy”, i racjonalna hodowla wy- myślnych ras owiec, przemiana gos- podarki na pastewną, oraz inne inwe- stycje majątku milionowego właście- la. Nie, stanowczo wszelkie aprio- rytyczne tezy upadają w wymowie faktów powieści — zwycięża je re- alizm, dla którego czynnik chłpiec- ny wybacza mrzonki odautorskiego ko- mentarza.

Danuta Brzozowska



O chleb powszedni

Rys. Z. Ajdukiewicz „Wędrowiec”

kowskiego) ograniczają się tylko do drobnych przyczynków i bardzo ogólnikowych rozprawek. Uderza przy tym jedna rzecz: aż do ostatnich lat twórczość pisarza dochodziła do nas poprzez pryzmat gustów i upodobań młodopolskich, które ukazywały ją w kategoriach „przeżył ogólnolud- zkich” i „odwiecznego dramatu istnie- nia”. W tej interpretacji Dygasiński — „piewca wszechbytu”, że postuje się modernistyczną, patetyczną no- menklaturą, zatracał najcenniejsze wartości swojego piśarstwa. „Gody Życia” były uznane za alę i ome- jego twórczości artystycznej. Utwór namietnej symbolice i pełnej tajemności mitologii przesłonił sobą esół i nowele odznaczające się ci- snością realistycznego spojrzenia. W postulatam nowej krytyki literackiej jest wydobycie i przed- stawienie w nowym świetle tych nie- docenionych i zbyt mało znanych pozycji. Trzeba ukazać Dygasińskiego- realistę, obserwatora i krytyka za- gadnień społecznych, który nawet w utworach o manerze naturalistycznej (zbyt niestety częstej i psującej obraz artystyczny) ukrywa celne i trafne spostrzeżenia o współczesnej rzeczy- wistości.

Dobrze się więc dzieje, że w wy- chodzącym wyborze pism Dygasiń- skiego w wydaniu „Książki i Wiedzy” uwzględnia się przede wszystkim jego twórczość społeczną. Dobrze, że udośćpiona została czytelkom powieść „Właściele”, bodaj jedna z najlepszych w dorobku pisarza. a absolutnie po macoszu traktowa- na dotychczasowych studiach o Dygasińskim.

Powieść ta ukazuje nam prze- miany zachodzące na wsi około lat osiemdziesiątych. Dygasiński obra- zuje typowy proces upadania małej własności szlacheckiej, uamieniania się zaś wielkiej, latyfundiowej, opar- tej na racjonalnej gospodarce. Z dru- giej strony obserwujemy drobnorol- ną wieś, a wśród niej wyrastające właśnie kulackie gospodarstwo chł- opa Szymona Dziury.

Ważne jest, że autor, w trakcie pi- sania powieści (wyszyła ona w roku 1887), znajdował się w orbicie ide-ologii „Głosu”, który, jak wiadomo, przeciwstawiał sobie dwie kultury: pańską i chłopką przy czym pierw- szą skazywał na zagładę, na drugiej zaś bazował przyszłość narodową Polski. Chłopotomiana „Głosu” przez sztuczne wyodrębnienie sprawy chłop- skiej z całokształtu walk społecznych, przez sugerowanie jednoci interesów wsi, a bez uwzględnienia jej we- wnętrznego rozwarstwienia, a wresz- cie przez akcenty anty-cywilizacyjne i wysunięcie „zdrowej” egzystencji chłopskiej, jako modelu życia, była zasadniczo reakcyjna. Oblicze to jednak odsoniła później, w pierw- szych zaś latach pisma miała wygląd bardzo radykalny, szczególnie jeśli chodzi o ataki na „pańską” kulturę, na degenerujące się ziemiaństwo i zmateralizowany kler.

Krytyka szlachetczyzny, jaka daje we „Właścicielach” Dygasiński, idzie po linii „Głosu”. Trzy dwory szla- checkie w Noskowicach — miejscu akcji powieści — skreślone są z mi- strzostwem obserwacji i nienajm- zacięciem satyrycznym. Właściele dworów skłóceni z sobą, śmieśnie ambimni, rywalizujący i nienawidzący się wzajem w sposób całkiem infan- tylny, przeciwstawieni są chłopskiej trzeźwości, solidarności i zdrowemu rozsądkowi. Niedarmo pisał Dygasiń- ski współcześnie w „Wędrowcu”: „Chłop jest mędrzy od inteligencji, ponieważ w każdej chwili ma na oku byt i jego podstawę”, to znaczy zie- mię. Chłop noskowski jest mędrzy

pisuje Dygasiński czynnikiem ściśle ekonomicznym: wiadomo, że drobna własność szlachecka upadła, bo nie wytrzymała wstrząsów związanych ze zniesieniem pańszczyzny oraz kon- kurencji taniego amerykańskiego zboża, które w tym właśnie czasie zalewało rynki Europy.

Pisarz z pewną jednostronnością wprowadza przyczyny psychiczno-oby- czajowe; być może działały tu kon- cepcje naturalistyczne, które w szlach- cie kazały widzieć biologiczny gatu- nek, niedostosowany do nowych wa- runków bytu i skazany na zagładę.

Alicja Lisiecka

Powieść polityczna czy manowce psychologizmu

ROK 44-ty. Niewiadoma wieś w kie- leckim czy w krakowskim. Zbli- ża się przełomowy moment historycz- ny oswożenia kraju przez posu- wającą się wciąż naprzód armię radziecką. Terror okupanta przybra- na na siłę, przeciwnictwa i sprze- czości w łonie gromady chłopskiej zastraszają się z każdym dniem. Jed- nocześnie wzmaga się walka kla- sowa wsi, coraz bardziej upolityczna się życie chłopów, zarysowuje się coraz wyraźniej charakter niektórych „niepodległościowych” ugrupowa- ń konspiracyjnych. Tak wygląda sytu- acja społeczno-polityczna kraju w momencie, kiedy rozpoczyna się akcja drugiej powojennej książki Fil- lipowicza*).

Autor w czasowo niewielkim wy- cinku rzeczywistości okupacyjnej za- mierzał ukazać wszystkie najbardziej typowe konflikty i problemy — cały bogaty przekrój życia narodowego. Zamierzenie niewątpliwie realistyczne, koncepcja o tyle ciekawa, że uwzględ- niająca przełomowość i niezwykłość tego ostatniego roku niewoli, roku, który zdecydował o przejściu jed- nych do konkretnego, twórczego bu- dnowania kraju w pierwszych latach niepodległości — i o odstepstwie ludową u innych.

Realizacja wielkiego zadania po- wieści politycznej nie poszła całkow-icie po linii założen realizmu. Prawdy czasu zagubiły się stopniowo najpierw w krzywiźnie psychologiz- micznych potem w błędach natury kompozycyjnej; błędach, wynikających ze zbytnej gorliwości autora w kre- śleniu drobnych-drobniactwów nie- raz rysów wizerunku społeczeństwa. Rozumiemy, że Filipowicz chciał wyłożyć poza tematykę wiejską, że chociaż fragmentarycznie, ułamkowo uisłował pokazać życie miasta (po- dróż Ciesli i Brycha do Krakowa). Szkoda, że zrobił to od strony ja- kiegoś mieszkanka spekulacyjnego i jakiejś rodziny drobnomieszczań- skiej, trzymającej na stacji „dobrego” (?) Niemca. Te zbytne, upras-zczające obrazy zakłócają wewnętrz- ną harmonię powieści i tak nieszcze- gólnie postawione pod względem kompozycyjnym. Bardziej celowe jest przeniesienie akcji z terenu wiejskie- go najpierw do wsi, a wreszcie do (niestety, znowu anonimowego) lagru.

Wraz z kilkoma zahaczeniami o kwestię żydowską (aresztowanie Ma- cieja, cyniczna scena spotkania z „narodowcem” w końcowym opowia- daniu Makowskiego) — wraz z mi- gawkowo potraktowaną, typową sprawą organizacji szmuglu — oraz trochę chaotycznymi rysunkami po- litycznego różnicowania się oblicza wsi — książka Filipowicza dałaby

istotnie wiedzę o życiu okupacyjnym — gdyby nie... I tu nasuwa się pro- blem daleko ważniejszy niż krytyka drobnych usterek kompozycyjnych i przewlekłego, nudzącego sposobu narracji, pozbawionej zupełnie efek- towi dramatycznego napięcia. Fil- powicz nie wybił się jeszcze cał- kowicie relikwami mieszczańskiej psy- chologizacyjnej powieści: załamywa- nie się faktów w pryzmacie doznań i subiektywnych przeżyć bohaterów, pośrednio, poprzez te doznania ukazywania realiów czasu — tylko miej- scami pozwala autorowi na praw- dziwe skojarzenie, na podanie w kil- ku istotnie głęboko realistycznych scenach — słusznej, uzasadnionej oceny.

Ocena jest trafna. Psychologizm Filipowicza nie zrodził się z ucieczki od rzeczywistości. Sceny realistyczne nie są rzadkie w powieści. Coś jednak zawodzi. Powieść zbudowana jest na materiale autentycznym, realiów by- najmniej nie brak — posługiwanie się słowem jest dyskretnie i subtelnie wycienione. Ale gdzieś zachodzi deformacja. Rzeczywistość Filipowicza — to suma obserwacji i impresji jego bohaterów. Ludzie z „Księżycu nad Nidą” nie są bynajmniej księ- życoymi ludźmi, żyjącymi w luna- tycznym śnie, w hermetycznych świa- tach swoich przeżyć. Ale ci ludzie tworzą zdarzenia; poprzez ich tory myślowe, poprzez ich refleksje i spo- sób rozumowania dokonują się prze- miiany historyczne. Oni nie tylko kształtują indywidualny charakter wypadków, w ich psychice załamują się zdarzenia, które powinny zostać obiektywne, bezpośrednia metoda — doprowadzane do końca przez autora.

Reakcje psychiczne, przeżycia we- wnętrzne są w książce Filipowicza pierwszoplanowe, najważniejsze — chociaż umiejętnie cieniowane, tu- szowane nieraz scenami realistycz- nymi (historia zrutu). Konflikt ugru- powań lewicowych z narodowcami, bratobójcze walki pod egidą Niemców — prowadzone przez oddziały NSZ-owskie, rozdziki między poli- tyką dądoztwa akowskiego z bo- jową, bezkompromisową postawą za- tych dołów — poznaje czytelnik po- średnio poprzez proces ewolucji psy- chicznej Ciesli. 20-letniego chłopaka wiejskiego, pozbawionego początko- wo wyraźnych przekonań, określonego światopoglądu. Od historii zrutu i pamiętnej walki nocej poprzez zu- pełnie niedużoznaczne koleje cofnie- cia rozkazu o współpracy z Armią Czerwoną — aż do ostatecznych „k- kluzji, wysnutych po rozmowie z „pachannym kawą i bułkami masła- nymi” pułkownikiem — kształtuje się świadomość przyszłego budowniczego ludowego państwa. Kropką nad i jest „Kacperek” demaskujący cynizm i ko- laboracyjne tendencje wroga klaso-

wego. A więc przeciwnictwa: dowódz- twa — doli organizacyjnej, lewica — klika „narodowców” — rozdziki między dworem i wsią, między amoralnymi i zdegenerowanymi jednost- kami typu Jolanty, reprezentującej „pozytywny” stosunek do okupanta — i resztą społeczeństwa — to istot- nie bogactwo tematów. Autor jednak gubi się w gęstwie problematyki (zwłaszcza psychologicznej) — i ży- wie ogólną niechęć do generalizowa- nia opinii i wyciągania ostatecz- nych wniosków — pozostawia czytel- nikowi rozpoczęte zdania lub błady kontur zagadnienia.

Tak się rzecz przedstawia z nie- wyraźnymi, ledwie dosłyszalnymi echemi działalności rządu lubelskiego, z jakimś niejasnym rysunkiem Armii Ludowej z niekonsekwentnie i niedokładnie wybraną galerią bo- haterów powieści (założeniem był wszak — obraz walki klasowej w społeczeństwie wiejskim). Powieść została napisana w roku 47. Można więc było już podkreślić wyraźniej sprzeczności między bogatym kulakiem a mało- rolnym chłopem. Można było po- zwolić sobie na większe zroznicowa- nie społeczności wiejskiej i wytypo- wanie ze starszego pokolenia kogoś bardziej charakterystycznego niż za- gadkowy sekiarz — Rumian, będący istną niespodzianką psychologiczną (Filipowicz lubi zresztą takie nie- spodzianki: przykład śmierci Skomo- rowiczów). Można było nakreślić postać bardziej reprezentatywną dla postępowych działaczy wiejskich niż skomplikowany psychicznie nauczy- ciel Bukowski. Wprawdzie wraz z Bukowskim Filipowicz wprowadza na scenę problem oświaty wsi, nielegal- nego nauczania okupacyjnego, znaj- dujemy jakieś reminiscencje tragedii szkoły wiejskiej dwudziestolecia, od- dźwięki zmagania jakiegoś Zawady, kształcącego syna za cenę połowy swego 12-morgowego gospodarstwa, znajdujemy aluzje do losów robot- niczego dziecka — samego Buko- wskiego — zdobywającego awans spo- łeczny dzięki nieznanemu ujujowi i emigrantom, który zjawia się jak de- mus ex machina, żeby wykształcić dalekiego siostrzeńca (zagadka psy- chologiczna, czy może symbol soli- darności proletariackiej? autor nie da nam odpowiedzi). Jednakże alu- zje raczej niż pełne opracowanie tych problemów nie przekształcają powa- żnego błędu książki jakim jest kre- wowanie bohaterów wyłącznie z kręgu inteligencji chłopskiej. Bukowski i Zawada, nawet Ciesla, odcinany z grubszą w wirze konspiracyjnego życia — to nie właściwi przedstawie- cie wsi. Autor nie zdołał się odespa- rować od przesławienia, że tylko inteligencja przeżyła, inteligencja sprawy, problemy widziane oczyma wykształconej warstwy są ważne i

skomplikowane — zasługują na u- wagę. W gruncie rzeczy zresztą i po- staci obrane przez Filipowicza nie są konsekwentnie doprowadzone do jakiegoś punktu. Autor trochę ma- nierystycznie nie dopowiada problemów, nie stawia zagadnień do końca: zni- kają po kolei jak w pejzażu, widzia- nym z pociągu, postaci Makowskiego, Rafała, nie prawie nie wnoszące, niepotrzebne, słabo zarysowane.

Mimo zamiarzeń stworzenia po- wieści politycznej, mimo pozornej dominacji problematyki politycznej do tego stopnia, że walka klasowa wsi została zupełnie przesunięta na płaszczyznę konfliktów organizacyj- nych — znajdujemy w powieści wiele postaci niezupełnie określonych w sensie politycznym i moralnym. Wprowadzenie do powieści przedsta- wicieli konspiracyjnych prawicy słabo spełnia mogą swą rolę kontra- stowych płam cieni w stosunku do reprezentantów walki ludu nie tylko dlatego, że tak w zasadzie mierznie wyglądają ludzkie postawy u Fili- powicza. NSZ-towcy i AL-owcy w powieści to rzadko ludzie zupełnie jednoznaczni. Postać sympatycznego arystokraty, przyzwoitego człowieka i kulturalnego ironisty, gotowego schylić głowę przed reformą rolną, za- bierającą mu majątek, jest tu niepo- kojącym przykładem autorskiej bez- troski.

Powieść, rozbita na samodzielne całości gubi rozpoczęte wątki, unika formułowania wniosków — za- dowala się szkieletowaniem zagadnień. To co winno stać się osią konstruk- cyjną powieści — wykazanie histo- rycznej racji walki AL-u, zarysowa- nie jej współpracy z Armią Czer- woną, pokazanie postawy nadni- dziańskich chłopów wobec sprawy Rządu Lubelskiego — zaginęło w na- toku migawkowym „ksężycowyh pejzażów” ciekawostek i dziwaczno- ści życia konspiracyjnego.

Z drugiej strony podkreślić na- leży odwagę autora w podejmowa- niu trudnej i skomplikowanej pro- blematyki politycznej okupacji, nie wymijanie problemów, nawet jeśli rozpracowanie ich zawiodło, dążność do osadzenia problematyki powieści w konkretnej lecz i kluczowej, na- brzmiałej ważkimi problemami sytu- acji historycznej. Decyduje to o kro- ku naprzód Filipowicza w stosunku do jego pierwszej książki „Krajobraz niewzruszony”. Książka Filipowicza wzbudziła duże zainteresowanie czy- telników. Od roku 1947 upłynęło już sporo czasu. Czekamy na rezultaty dalszej pracy autora.

Alicja Lisiecka

* Kornel Filipowicz, „Księżyc nad Nidą”, Kraków. 1950, „Czytelnik” s. 211.

ALEKSANDER FADIEJEW

PRACA PISARZA

LITERATURA radziecka, najbardziej ideowa i najbardziej postępową literaturą świata, przoduje dziś w rozwiązywaniu problemów artystycznych. Większość wszystkich odbywających się ostatnio w Związku Radzieckim zebrań literackich, zjazdów, dyskusji czy artykułów poświęconych została dwóm sprawom: zagadnieniu JEZYKA ARTYSTYCZNEGO w dziele literackim i problemowi ORGANIZACJI WARSZTATU PISARSKIEGO. Nie potrzeba dodawać, że ma to olbrzymie znaczenie, zwłaszcza na odcinku kształcenia i wychowania nowych kadr literackich. Pragnąc wprowadzić polskiego czytelnika do tej

przodującej kuźni teorii i praktyki literackiej przedrukujemy (prawie w całości) ostatni artykuł wielkiego pisarza radzieckiego, ogłoszony w piśmie „Literaturnaja Gazieta” z 22.II.1951 r. Artykuł ten jest tekstem odczytu, wygłoszonego niedawno w Instytucie Literackim im. Gorkiego w Moskwie na marginesie II Wszechzwiązkowego Zjazdu Młodych Pisarzy. Jeśli przypomnimy sobie, że jednym z głównych zadań naszej literatury jest obecnie według określenia Jerzego Putramenta — „BITWA O JAKOŚĆ”, to po znanie związaną z tą sprawą wypowiedź pisarza radzieckiego będzie dla nas rzeczą nadzwyczaj cenną i aktualną.

MÓWIĄC o artystycznym rzemiośle pisarza należy zawsze pamiętać o trzech podstawowych momentach:

Po pierwsze — trzeba pamiętać chwytając za pióro, że należy znać dobrze życie, krocząc w jeden takt z teraźniejszością, być człowiekiem współczesnym w całym tego słowa znaczeniu, czyli stać na poz. omie przodujących idei swojego czasu i żyć życiem narodu.

Po drugie — trzeba jasno i dokładnie widzieć cel, w imię którego tworzy się i któremu podporządkowuje się swój własny umysł.

I wreszcie po trzecie — trzeba rozumieć, że twórczość artystyczna — to jeden z rodzajów pracy ludzkiej, specyficzny rodzaj, ale mimo wszystko jeden z rodzajów pracy. A więc pisarz tak samo jak i ci, którzy pracują we wszystkich innych dziedzinach, musi koniecznie, nieustannie i wytrwale opanowywać rzemiosło swojego zawodu, zaczynając od podstaw techniki (rzemiosło literackie bowiem, jak i każde inne, ma również swoją technikę), a kończąc na najbardziej złożonych zagadnieniach formy.

Znajomość życia była zawsze dla pisarza czymś niezbędnym. Jest rzeczą całkowicie zbyteczną mówić o tym, że artysta naszych czasów, w warunkach szybko rozwijającej się rzeczywistości radzieckiej, w pełnej napięcia walce między nowym a starym, nie ma żadnej możliwości pisanja, jeśli nie zna życia do głębi i jeśli nie idzie krok w krok z życiem z pełną świadomością. Zdarzało się niegdyś, że pisarz mawiał: „Wystarczy, że ja sam żyję i utrzymuję z ludźmi stosunki. W celu poznania życia nie potrzebuję żadnych specjalnych wysiłków. Żyję, rozmyślam o życiu — i piszę”. Ale wyobraźcie sobie obecną naszą rzeczywistość, a zobaczycie, że jest ona tak różnorodna i tak szybko się rozwija, iż same „rozmyślanie” bez wytrwałego i nieustannego badania przejawów życia, jak się okazuje, zupełnie już nie wystarcza.

Ala oprócz znajomości dzisiejszego życia stoi przed artystą jeszcze jedno bardziej skomplikowane zadanie: jest on powołany do tego, by wiele rzeczy przewidywać — w zaledwie nowego widzieć to nowe już jako triumfujące.

Nasze gigantyczne nowe budowle, nawet w początkowych swych planach są tak wspaniałe, że ilekroć byśmy czytali teraz gazet i rozmawiali między sobą, nie możemy sobie stworzyć pełnego wyobrażenia tego, jak zrealizowanie tych planów przekształci nasze życie nie tylko w odniesieniu do rozwoju nowych sił wytwórczych, ale także i w odniesieniu do tych olbrzymich przemian, które nieuchronnie powinny zajść w naszej świadomości. Pisarz, który nie rzuci się zaraz na ten nowy materiał i nie zacznie studiować go w szczególności (i który w tym samym czasie nie zacznie tak się uczyć, tak rozwijać swego ideowego uświadamienia swego ogólnego kręgu wiadomości, żeby nauczyć się patrzeć naprzód, móc wiele rzeczy uogólnić, przewidzieć) — taki pisarz spóźni się beznadziejnie i nie potrafi w rezultacie niczego napisać o tych budowlach. Identyfikując się z rzeczywistością, identyfikując się z życiem, ale także wypredając je i wiele rzeczy przewidzieć.

Kiedy mówimy teraz „artysta-nawigator”, to oczywiście nadajemy temu skojarzeniu słów nie to znaczenie, albo dokładniej nie tylko to znaczenie, jakie nadawało się tymże słowem w przeszłości. Należało rozumieć się przez to, że pisarz — nowator to człowiek, który odkrył nowe chwytły, nowe formy. Takie odkrycia, nie ulega kwestii — są niezbędne. Bez nich postępowy rozwój sztuki jest nie do pomyślenia. Lecz dla nas nowatorstwo nabiera niepomniennie większego znaczenia. My nazywamy nowatorem człowieka, który przede wszystkim wynalazł w życiu coś nowego, wynalazł i artystycznie odzwiercudlił to nowe w jego rozwoju, w perspektywie. Dążenie do zwycięstwa tego co nowe, tego co łączy się pod ogólnym pojęciem komunizmu, określa cel, któremu radziecki artysta podporządkowuje swoją twórczość.

Jednakże celu tego nie można osiągnąć bez zrozumienia istoty pracy artysty. Prawdziwy utwór prozaiczny można stworzyć tylko w wyniku bardzo wielkiego, upartego, nie tylko umysłowego ale i fizycznego wysiłku zużytego na nowelę, opowiadanie czy powieść. Bardzo trudno sobie wyobrazić, żeby ukończone dzieło prozy nie było przynajmniej

trzy razy przepisane — odręcznie lub jak kto woli na maszynie — to już sprawa czysto zewnętrznej techniki. Nawet kiedy pisarz troskliwie wyplatał i przemyślał swój utwór, to i wtedy tylko w bardzo rzadkich wypadkach udaje się mu zrealizować go całkowicie według tego planu, jaki był nakreślony na samym początku pracy. Tak było dawniej i tak bywa i teraz: pisarz musi koniecznie mieć plan. Można go zanotować na papierze lub zbudować w myśli — to również sprawa indywidualnego przyzwyczajenia. Ale kiedy zarysują się charakterystyczne, wtedy one same zaczęły wnosć swoje poprawki

**) Por. J. Putrament: Zadania literatury w okresie Planu Sześcioletniego i walki o pokój. „Twórczość” 1951, II, 72.*

PIOTR CHMURA

GŁÓWNE OGNIWO

Rozmawiamy z korespondentami

Wciąż to mówimy i będziemy powtarzać, że korespondenci pracują na przedpolu literatury. I nawet ci, co sami nie przerosną w pisarzy, dużo mogą nauczyć literatów. Na czym bowiem polega „przedpole” korespondenta? Staje on wobec konkretnego, rzeczywistego faktu społecznego, aby odkryć dialektyczny proces walki i sprzeczności, który wnoszą do rzeczywistości ów fakt i przewidzieć dalsze jego oddziaływanie. Korespondent „rozpułca” rzeczywisty fakt, w pewnym sensie — pierwszy lepszy z brzęku, bo ten, jaki wyrasta przed nim w okolicy.

I jeśli to osiąga, trzyma zarazem w garści to samo, co leży u podstaw powieści i publicystyki. Uczy w ten sposób pisarzy, że każdy fakt w rzeczywistości — to orzech z jądrem, że poprzez każdy fakt można odsłonić problematykę naszych dni, które w Polsce Ludowej przebiegają historię z szybkością dziesięcioleci.

Ala rzecz w tem, aby korespondent potrafił „rozpułcać” fakt. O niektórych trudnościach w tym zakresie chcemy właśnie powiedzieć, jak zwykle, na przykładach.

SEKRET POWSTANIA I ROZWOJU SPÓŁDZIELNI

Nauczyciel z pewnej wsi na Ziemiach Odzyskanych opisyuje dzieje spółdzielni produkcyjnej, jaka powstała w tej wsi wiosną 50 roku. Debatować zaczęło jesienią 49 r. Najpierw nie szeroko, nie na gromadzkich zebraniach, ale w kółku zapaleńców. Byli tu partyjni, ZSL-owcy i bezpartyjni. Opozycja na wsi wystąpiła z bardzo ciekawą kontrargumentacją. „Kto to widział, żeby zakładać wspólną gospodarkę, kiedy jeszcze w całym powiecie nie ma ani jednej spółdzielni”.

Oto i główne ogniwo, za które winien był uchwycić korespondent. **Dziadek w jego wsi mogła powstać i powstała pierwsza spółdzielnia w powiecie?**

Na jakiej zasadzie dostało się Bielcom pierwszeństwo? Z grubszą białą, można wyznaczyć ich dwie, i tu właśnie warunki ekonomiczne i talenty rolnicze lub też bojowość klasowa i świadomość polityczną lub wreszcie jedno i drugie razem wysuwają wieś przed inne w powiecie. 2) Wiesz przeciwnie — przeciwni, typowa i dlatego udany eksperyment na przeciętnej w skutkach dać może gremialny ruch spółdzielczy na powiecie.

Ala zasady pierwszeństwa nie można zakładać z góry, trzeba ją odkryć, sprawdzić i udokumentować w powstaniu i rozwoju spółdzielni. Korespondent za główne ogniwo nie uchwycił.

Był drugi kontrargument opozycji: „Gadajcie, co chcecie, ale ziemia więcej nie urodzi, ile może”. A ziemia w Bielcach nie najlepsza, są piaski, gdzie nawet owies nie weździe (?) jest i glina, gdzie traktor nie zaozre (?). Korespondent nie uopał się z odpowiedzią zapaleńców i zwolenników (16 na 45 gospodarzy we wsi). Stwierdził fakt, że „obradowali z olśnieniem w reku”, ale faktu tego nie przeniknął. I poszedł historię spółdzielni przejechał się jak na chłopskim wozie. Stręśliwo go nieźle. Fakty w dół, w górę,

do początkowego planu. Logika rozwoju sytuacji w typowych warunkach zmienia, a niekiedy i tamie uprzednie pomysły. W ciągu pracy trzeba czasem odrzucać niektóre swoje dawne wyobrażenia, niektóre rzeczy trzeba budować od nowa.

Zmudnego wysiłku wymaga praca nad językiem — dążenie do najbardziej dokładnego wyrażenia tego, co widzisz, co wykrystalizowało się w twojej świadomości. Przed pisarzem — olbrzymie morze słów i pojęć. Dla wyrażenia dowolnej myśli lub obrazu naprasza się dziesięć piętnaście, dwadzieścia słów... Ale jak wybrać, mianowicie te, które z największą wiernością wyrażą własną, co wiesz i co chcesz powiedzieć? Wielu zapomina, że nawet potoczne wyrażenie dialogowe w utworze artystycznym nie jest zwykłym wyrażeniem, które samo przyszło do głowy, podobne do tych, jakie wypowiada się w zwykłej codziennej rozmowie. To wyrażenie również zbudowane. Proces jego budowania — to sprawa złożona, nie mechaniczna.

Po napisaniu kilku zdań artysta nagle doznaje rozczarowania. Wyszło nie tak, jak się chciało. Chce się teraz jedno zdanie wyrzucić, w drugim przestawić słowo, a inne zamienić. Jedni pisarze wykonują tę pracę po napisaniu całego utworu od początku do końca, a bardzo wielu zaczyna ją z miejsca, napisać zdanie i zaraz zabiera się do jego wygładzania. Tacy nie mogą posuwać się naprzód, dopóki czują, że nie mają poza sobą już czegoś jako tako wygładzonego. Pierwszy sposób zaoszczędza

dla wiele czasu. Nie każdemu jednak udaje się przezwyciężyć uczucia niezadowolenia z tego, co się dopiero napisało. Gdy byłem młodszym, nie mogłem napisać za jednym zamachem ani jednego rozdziału. Z miejsca zaczynałem przepisywać, wygładzać i dopiero później posuwałem się dalej. Potem okazało się, że to było niepotrzebne. Idęcego zastawiały się trochę zacząłem siebie przełamywać, pisać większe kawałki i dopiero później pocić rzeźbę napisaną. Wówczas już lepiej widać, co można całkiem odrzucić.

Zrozumienie całej wartości dzieła literackiego, posiadali bez wyjątku wszyscy wybitni artyści przeszłości. Dlatego nie ma dla pisarza bardziej pożytecznej i pobudzającej lektury od lektury różnego rodzaju wypowiedzi dawnych wielkich mistrzów na temat, jak pisać, jak pracować, lektury ich wzajemnej korespondencji i rad, których sobie udzielali.

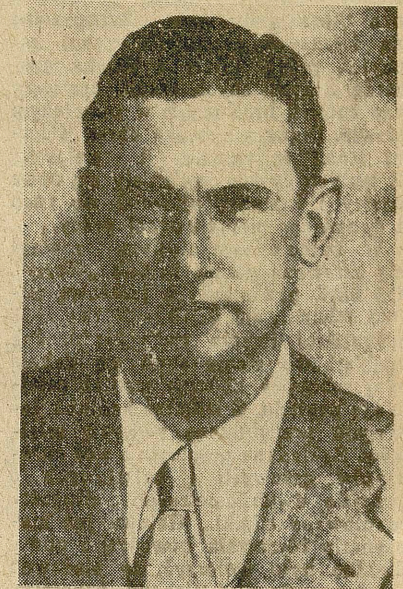
(Tu Fadiejew przytacza przykłady wielkiej wnikliwości w pracy nad językiem, troski, jaką widać z rękopisów i notatek Maksyma Gorkiego i Lwa Tołstoja. Powołując się na ostatnie wypowiedzi Józefa Stalina o językoznawstwie, zaleca Fadiejew za przykładem Tołstoja dążyć do opanowania zgrupowanego przez wieki żywego słownika języka rosyjskiego, metodą Gorkiego, który radził początkującym literatom czytać bajki, przysłówka ludowe i dzieła wielkich miłośników słowa. Podkreślając fakt wielkiego wzbogacenia

języka przez rewolucję, Fadiejew przestrzega równocześnie przed zasmiecaniem go zbytecznymi neologizmami, wyszukany terminami, dialektyzmami czy wyrazami o chwilowej aktualności. Każdy utwór powinien posiadać własny bogaty rytm, a każde zdanie — swoją naturalną, wewnętrzną logikę. Dzieło bowiem jest jak ciało sportowca. Jego styl jest muskulatura, która organicznie wiąże całość. Żeby tę muskulaturę rozwijać, artysta winien stale „gimnastykować się”, ćwicząc się w sztuce budowania różnych zdań i zwrotów. Jedyną bowiem pracą nad językiem może wywołać u czytelnika silne wrażenie piękna i poezji, wzbudzając w nim gniew, żyz czy śmiech).

Przykazanie, następujące — pisał dalej Fadiejew — to jedna z najważniejszych cech sztuki. Opanowanie tej umiejętności zdobywa się uciążliwą pracą. „Trzeba kształcić w sobie zdolność wynajdywania takiego rytmu, takiego słownictwa, takiego skojarzenia słów, jakie wzbudziłyby w czytelniku pożądane wzruszenia i nastroje”.

I na ostatek wyłania się przed pisarzem jeszcze jedna, być może, najbardziej skomplikowana sprawa: konieczność zorganizowania tak nagromadzonego dość często olbrzymiego materiału w jedną całość. Sciera się tutaj ze sobą mnóstwo faktów, zdarzeń, myśli. Są wśród nich myśli piękne i wielkie. Ale dlatego, żeby to wszystko zagrało, pomogło dojść do zamierzonego celu, trzeba znaleźć trafne propozycje, trzeba wiedzieć dokładnie co bardziej ważne, a co mniej ważne, gdzie trzeba na-

cisnąć pedał mocniej, a gdzie popuścić. Tołstoj nazywał to w dziele literackim kolarzeniem „generalizacji” z „drobiazgowością”, rozumiejąc przez „generalizację” — uogólnienie — a przez „drobiazgowość” — konkretne szczegóły. On również uważał organizację materiału za najtrudniejsze zadanie: bo albo drobiazgi zaczęły



Aleksander Fadiejew

odciągać pisarza w bok, albo na odwrot, co to najwęższe, zaczyna wylazć spod pióra przedwcześnie, nie ucielesnione jeszcze w odpowiedniej formie i nie przygotowane przez całą logikę zdarzeń i obrazów. W takich wypadkach czytelnik, nie doprowadzony jeszcze do potrzebnej konkluzji, okazuje się niezdolnym do przyjęcia tego co najważniejsze i przedzie koło niego oboltnie...

Bardzo często można spotkać w naszej prozie niedopuszczalną rozlazłość, która wskazuje, że autor nie zatroszczył się o to, żeby wszystkie elementy swego utworu podporządkować wyrażeniu przewodniej myśli, przewodniej idei. Wielu dotychczas sądzi tak: wiele rzeczy zobaczę, zebrałem duży materiał, teraz tylko potrzeba wszystko to w jakiś sposób ułożyć, a potem napisać. Ale to — wielka pomyłka. I w powieści i w noweli, a zwłaszcza w dramacie — czy dotkniemy osobistych stron życia bohatera, czy wprowadzimy jakikolwiek dodatkową, chociażby dziejełorzędną postać — wszystko powinniśmy robić z myślą, wyobrażając sobie zupełnie jasno, jaki aspekt przewodniej idei wyrazi się w danym zdarzeniu, czy, za pomocą danej postaci. W przeciwnym razie — brak wiarygodności, przeładunek epizodycznymi bohaterami i nie więcej...

Dalej Fadiejew wykazuje, że wszystkie te błędy rowności i górowania szczegółów przytrafiają się najczęściej w dramacie. „Dzieje się tak — konkluduje Fadiejew — dlatego, że autor nie wierzy w siłę stworzonych przez siebie obrazów, charakterów, nie wierzy w to, że dzięki skojarzeniu i zderzeniu charakterów potrafi wyrazić idee”.

„Wszystko to mówi o tym, że literatura to nie tylko jeden z rodzajów pracy, ale do tego jeszcze — rodzaj pracy **niełatwy**. I dlatego, i dla młodzieży, i dla nas starszych”, zagadnienia nieustannego uczenia się, zagadnienia doskonałości rzemiosła, mają pierwszorzędne znaczenie.

Nasza literatura tworząca różni ludzi. Rozmaitości układały się ich biografie. Wszyscy posiadamy jedną więź ideową, ale każdy ma swoją indywidualność, odmienny sposób pisanja, różne uświadamienia, różne przemyślenia. Tam, gdzie przebiegają indywidualności ci lub inni pisarze znajdują wzajemnie coś wspólnego, zjawiają się w naszej literaturze kierunki artystyczne, kierunki w dziedzinie formy. Taka różnorodność jest rzeczą naturalną: realizm socjalistyczny przewiduje różnorodność form.

Wyzwolił się indywidualność człowieka. W tym czasie kiedy kapitalizm starał się zniwelować człowieka i sprowadzić go do maszyny, to u nas, co człowiek — to charakter. A różnorodność indywidualności rodzi w literaturze różnorodność form. Weźcie jako przykład całą wielokrotność narodowych form literatury radzieckiej.

Nasza krytyka zbyt mało pracuje nad tym, by pokazać bogactwo możliwości stojących otworem dzięki metodzie socjalistycznego realizmu i podchwycić to wszystko, co się okazuje w naszej literaturze nowym słowem, nowym rysem, nową barwą.

Realizm socjalistyczny ujmując życie zgodnie z rzeczywistością w jego historycznej konkretności i rewolucyjnym rozwoju. Stawia on sobie za cel wychowanie człowieka w duchu socjalistycznym. Właśnie wskutek tego socjalistyczny realizm przewiduje różnorodność form, stylów, rodzajów. W tym sformułowaniu socjalistycznego realizmu, jakie dał nam towarzysze Stalin, nie wolno pominąć żadnego aspektu. A krytyka powinna umieć analizować te wszystkie aspekty. My zaś, ludzie tworzący literaturę, powinniśmy wszystkie swoje duchowe i fizyczne siły oddać na to, byśmy urobili w wielkie idee Lenina-Stalina, studiując wytrwale życie, ucząc się wnikliwie wszystkie, naprawdę wielkiego, co stworzone w przeszłości — tworzyli nowe, przepiękne dzieła dla dobra narodu radzieckiego i całej postępowej ludzkości.

Tłum. Józef Czerni

Piotr Chmura

KULTURA LUDOWA

Wies Pawłowice na Śląsku. Znamy z ludowych rzeźbiarzy-świątkarzy. Korespondent, bawąc u tamtejszego nauczyciela, ujrzał wiszącą na honorowym miejscu jedną z takich rzeźb. Była to „mlinsternie” wyrzeźbiona w drzewie figura ukrzyżowanego Chrystusa. Wokół krzyża ogródek z polanymi stachetami. W ogródku na trawie kłęzą dwie białe dziewczyny. Chrystus ma tylko jedną rękę przybitą do krzyża, zaś drugą podaje głodnym dzieciom bochenek chleba. Nau. czytel z dumą pokazuje rzeźbę, zrobił ją przed laty jego teść, Folek Franciszek. Korespondent nasz

TAJEMNICA ENTUZJAZMU

Znowu rzeczywistość. Nazywa się Baitów, leży nad Kamienną w okolicach Starachowic. Młody korespondent z ambicjami na reportażystę pisze o młodzieży tej wsi, o kolegach z rodzinnej wsi. Sam już ją opuścił. Kończy w Kielcach liceum.

Gdzie główne ogniwo? Oto Edek Chodała, przewodniczący koła ZMP „był jednym z tych, którzy cieszyli się największym autorytetem wśród młodego pokolenia gromady... Z toba Edek pójdziemy i na koniec

świata — oświadczał koledy, kiedy komunikował im: jutro idziemy reperować szosę w ramach prac społecznych SP — albo — świetlicę musimy doprowadzić do należytego porządku”.

To było zadanie główne: ukazać w jakich warunkach, w toku jakich bitew klasowych na wsi, na jakich frontach i na ile ważnych roli autorzytet Chodały, rości entuzjazm grupy ZMP-owskiej.

Korespondent nie nastawił się na odpowiedź na to wezwanie pytanie. W ramach Miesiąca Przyjaźni Polsko-Radzieckiej Chodała zachęca młodzież do „przygotowania jakiegoś przedstawienia”. To nie Chodała, to korespondent nie umiał określić tego, czego chciała młodzież. Zagrano wszak „Radio-Październik” Majakowskiego. Zespół występował z tą sztuką w Starachowicach na konferencji powiatowej ZMP. Z przedstawień zebrał fundusz na radio do świetlicy. Czy to była jedyna droga Koła, jedyny tytuł do entuzjazmu młodzieży, „z toba Edek pójdziemy i na koniec świata”?

Kiedy przed kilku dniami korespondent odwiedził rodzinną wieś, zastał niebawymie zmiany. Już nie było „Młodej Gwardii”. „Krzysztofik jest traktorzystą w Daniszowie, w POM-ie, jesienią orał już spółdzielcze pola. Hela Kieloszka pracuje w gospodzie gminnej. Stach Chodała pracuje w Radzie Narodowej. Zosia Korusińska w fabryce porcelany w Cmielowie. Edek Chodała ze Stachem z górzni są w wojsku. Edek zostanie oficerem... i my także gdzieś ruszymy — informował korespondenta jeden z ostatnich gwardystów — przed nami świat”.

Na to, kończąc reportaż, powiada korespondent: „teraz zrozumiałem i dowiedziałem się, dlaczego tak zmieniło się w mojej wsi”.

Otoż — nie zrozumiał. — Cóż to bowiem działo się we wsi, że po 1) najstarsza młodzież przeniknęła na różne odcinki budowy socjalizmu, po 2) co to był za entuzjazm tej młodzieży, co za autorzytet przywódcy — jeśli korespondent widzi tytuł ich odlotu w kraj, tylko ten kierunek marszu młodzieży wiejskiej — a nie widzi młodszych pokoleń, nowej kadry Koła i nie pyta czy stara gwardia ją przygotowała i na ile ci młodzi, mając już lepsze warunki pracy i bardziej uformowaną drogę, stają przed większymi zadaniami na wsi.

Raz jeszcze trzeba, Kolego, wrócić do sprawy młodzieży z Baitowa.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

„NO PASSARAN”

(Fragment powieści „Zakręt pięciu gwizdków” *)

NADCHODZIŁA jesień, a z nią sztormy. Wszyskich Świętych. Wiatr dreszczem fal przebiegał mętne wody rzeki. Strzępiasta mgła czołgała się nad ziemią i basenami, zamazując kontury doków, hal i pochylni. Najmocniejszym akcentem w tym szorstym pejzażu były czarne zarysy górących nad Stoczną dźwigów. Zgrupowane na żelaznych pomostach wokół pochylni, przypominały z daleka gromadę długodochowych czapli, beczaków czy żurawi, brodzących w zamglonym stawie. Dopiero z bliska obraz Stoczni tracił statykę i sielskość. Z białych parów wyłaniały się nowe barwy i kształty, ujawniały się ruch i dynamizm nieprzerwanej pracy.

W basenie remontowym znaczny się czerwona plama kadłub „Warty”. Od burt, powleczonej jaskrawą miną, odcinają się ostre rdzawe białe niegotowe jeszcze nadbudówki. Jak niebieskawe cienie snuli się dokoła niej robotnicy kończąc montaż ostatniego pokładu. Z wnętrza kadłuba Jobałego przylgane stukanie młotów. Zakładano popiesznie sieć rurociągów gazowych i balastowych o przeszło dwukilometrowej długości, montowano silniki... Gotowa już maszynieria błyszczała nowością i oliwą. Trudno było uwierzyć, że niedawno między walami i tlokami panowały się tu wodorosty i beczelnie przepływały ryby, że wrak „Warty” jeszcze kilka miesięcy temu leżał na dnie jednego z kanałów portowych...

W sąsiedztwie tego stoku tankowca „Karpata” wymieniał tloki i głowice. Holowniki, czekające na remont, otoczyły jego potężny maszyn jak małe matki. Na smukłej sylwetce „Panny Wodnej”, przerabianej z okrętu wojennego na statek pasażerski, spawacze seledynowymi ściegami acetylenu zszywali nadbudówkę, a stolarze z oddziału majstra Trepczyk uwijali się jak w ukropie. Trepczyk w rozpiętej kurtce „objęzdał” właśnie jakiegoś leniwego pomocnika: — Tłukcie chrzanienie to, cholera, dderewulę mmm!

Obok, na nabrzeżu, położono już stopki pod dwa nowe holowniki, a szarżujące w pobliżu na lipach kadłuby stalowych kutrów, budowanych dla „Arki” przypominały ryby, wyrzucone falą na brzeg.

Ale ludzi Stoczni interesowały przede wszystkim pochylnie. Na jednej z nich rósł pierwszy rudowłosek! Kadłub jego przybierał z każdym dniem wyraźniejsze zarysy. Oplatany siecią rusztowań jak magnes przyciągał oczy. Każdy, kto tędy przechodził, przystawał choć na chwilę, aby popatrzeć na tablicę, na której czerwona linia wzrostu ciężaru na pochylni, przeciągając niebieską krechę planu, zbliżała się przed ter-

minem do wyznaczonej mety — lub też by posłuchać trzasku nierskich młotów i syku acetylenu. Tak! To była dobra muzyka! Gdy słuchało się jej z zamkniętymi oczami, łatwo można było sobie wyobrazić, że to terkoczą cekaemy i syczą młotaczce ognia na pierwszej linii. Odgłosy pracy zagłuszały słowa. Żeby porozumieć się niterzy musieli krzyknąć.

— Holinder! — zaklął Michalak, siedzący jak Jonasz we wnętrzu tej żelaznej ryby, gdzie wśród żelaznych ości wręgów miała wkrótce zatonąć już, jak serce, maszyna okrętowa, zbudowana na Śląsku. Przed chwilą zaskrajował mu nierski młotek. Nowak, wyrosły jak spod ziemi, zaczął oglądać nieposłuszne narzędzie. Tłumaczył przy tym coś chłopakowi, ale ten rozumiał piąte przez dziesiąte. Trudno było przekrzyknąć kanonadę nierskiej gromady, rozspanej na pokładach, ładowniach i pomieszczeniach na kotły, czy balasty. Michalak, kolega Klawitera, trafił na Stocznę prosto ze ślusarskiego warsztatu w Szamotulach i czuł się tu jeszcze dość nieswojo. Takich jak on, ogłuszonych Stoczną chłopaków z ładu, było zresztą więcej. Na czterdziestu paru, pracujących obecnie na pochylni, znalazłoby się trzech bodaj takich, co pracowali w stocznictwie przed wojną. Z pozostałych jeden „robił” w fabryce maszyn rolniczych w Tczewie, inny terminował u ślusarza w Lublinie, inny jeszcze był gdzieś pod Hanowerem u „bauerów”. Statek, jakby wiedząc, że ma do czynienia z nowicjuszami, nieraz sprawiał im „frycówki”. To płyty nie chciały się dopasować, to psuły się narzędzia...

Nowak miał wielu takich początkujących w swej brigadzie. Otaczał ich specjalną opieką, co wyrażało się przede wszystkim w tym, że nie spuszczał chłopców z oka. Robiono ich to jeszcze niezgrabniejszymi niż zwykle. Młotki same psuły się i leciały z rąk. Kiedy Leon zaczął pracować w brigadzie „Sowy”, patrzył spode łba na chudego majstra, podobnego do zaspionego ptaka. Dopiero po pewnym czasie zrozumiał, że ten pozornie oschły i zrzędny „męczydusza” skwapliwie i bez słów pomaga temu, kto go o to poprosi. Dlatego też Michalak, który przyszedł tu na miejsce Alojza, nie „zdryfował” w pierwszym tygodniu do leższego zalecia — jak jego poprzednik — ale przetrwał całą brudną, męczącą robotę na tankowiec i razem z brigadą Nowaka przeszedł na rudowłosek. Bardzo był z tego dumny. Śpieszył się tak samo jak koledzy, żeby zrobić swoje szybko i dobrze. A tu ten cholerny młotek! Co też tej cholery brakuje? Majster przypatrywał się w samą porę. On to raz dwa naprawił

Michalak patrzył z zaufaniem na chude palce, manipulujące przy młotku. Brygadziśta mruknął coś pod nosem. Leon nie dosłyszał.

— Co mówicie? — wrzasnął. — Nic nie słychać! Gorzej tu jak na wojnie!

— A co? Może to nie wojna? — odwrzknął Nowak.

Michalak nieraz już zauważył, że stary najlepszy humor miał wtedy, kiedy, jak mówił Alojz, „trzeba było pruć nosem”. No, sam też się nie oszczędzał!

— Bijemy się na dwa fronty! — krzyczał brygadziśta. — O pokój! To raz! O produkcję! To dwa! Spytaj majstra Szwedowskiego, co tu budował dawny właściciel? Łodzie podwodne! A my z wojennych robimy pasażerskie! Widziałeś! „Pan- nę Wodną”? No, więc!

Leon spojrział na Nowaka, jakby go pierwszy raz w życiu widział. Co się staremu stało, że w tym huk i zgrzycie przemawiał do niego z większą werwą, niż gdyby mówił na wiece? Ba, Michalak chodził na szkolenie ideologiczne, gdzie od czasu do czasu miewał wykłady Nowak. Żeby tam tak klarował! Ale nie. Mimo sympatii do starego, Leon cierpiał wtedy niesamowicie. Chciało mu się spać — to znów pał! Nowak mówił takim głosem, jakby padał deszcz: cicho, monotonicznie. Ope- rował najchętniej otwartymi frazami i banalnymi skrótami myślowymi, które sprawiły, że nikt nie zauważał zawartej w nich prawdziwej nowej treści.

— Gdybyśmy ja przeżył tyle co on, to na całe życie miałbym dość do

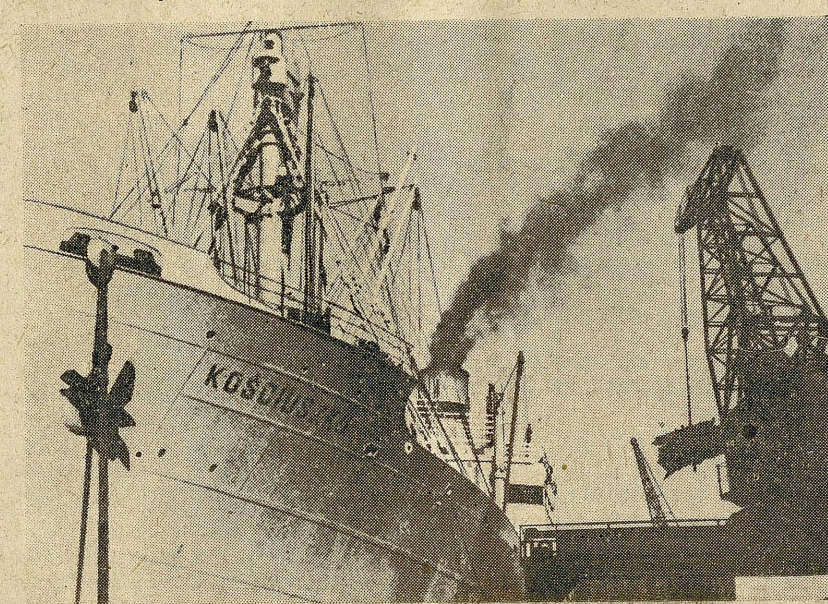
gadania, a wiara słuchałaby jak najęta! — zdenerwował się kiedyś Michalak, po wykładzie, na którym brygadziśta przeszedł samego siebie we frazesach i zacinięciu się. A mówił — trudno w to uwierzyć — o wydarzeniach najbliższych chyba jego sercu: o wojnie domowej w Hiszpanii...

— Wiesz, Leon, że ty jesteś głupi! — powiedział wtedy kreslarz Klis, z którym młody niter siedział razem na tym kursie. — Ja się tam Nowakowi wcale nie dziwię! To tak, jakby ktoś kazał ci opowiadać na masówce o twojej dziewczynie! Potrafisz?

— Ee, tam, z takimi subtelnościami! — mruknął wtedy Leon, ale czuł, że jego kolega z kreslarni ma trochę racji.

Tak czy owak — ludzie z brigady Nowaka, choć go szanowali i lubili nie mieli do niego „rozpędu”.

— Na, masz, gotowe! Będzie chodził jak złoto! — brygadziśta wręczył chłopakowi naprawiony młot. Zaledwie jednak Leon zdążył go wypróbować, zahuczała syrena na przerwę obiadową. Młody niter nie spiesząc się, odłożył narzędzia, zszedł po chybliwych szczeblach z rusztowania i wyjął z kieszeni pajkę chleba. Jedząc, przyglądał się Nowakowi, który rozmawiał ze Szwedowskim. Majster był wyraźnie czymś podniecony. Zjawił się na pochylni w minutę po syrenie, pogadał chwilę z brygadziśtą i odprawdani wzrokiem



Wyladunek statku „Kościuszko” w Gdyni

Michalaka, ruszyli w stronę hali, z której kominą buchał gęsty, żółty dym.

— Już! — pada sygnał. Żelazna gruszka nachyla się. Jak sok tryska z niej strumień żywego złota! Z sykiem wypelnia po brzegi potężny, ogniotrwały kubel, wiszący jak wiadro na linie studziennego żurawia. W górze po żelaznej szynie, toczy się koło. Kubel przesuwa się powoli nad zakrzepłą gliną podłogi, zatrzymuje się tuż nad formą, przechyla i znów oślepiający blask przelewającego się metalu rzuca ostry refleks na pochyłone dokoła czujne postacie. Hutnicy zaszępli się tu o siebie jak kółka w maszynie. Rozumieli się doskonale bez zbędnych gestów i słów. Na produkcję odlewni niecierpliwie czekała Stocznia! I to jedynie było ważne!

— Ale dziś normalny tok pracy został zahamowany nieszcześliwym wypadkiem. Ludzie wciąż jeszcze leży

pod jego wrażeniem.

— Wiecie, że Świrszcz zemdał na opatrunku? Już z tej nogi nie będzie chłop miał pociechy! — doleciało Szwedowskiego.

— Dobrze, że oczy zdrowe! — pocieszał ktoś drugi.

Nowak przepchnął się już do gromady:

— Gdzie majster? — zapytał.

Ale nim zdążył mu odpowiedzieć, brygadziśta dojrzał już siedzącego na uboczu, bardziej jeszcze czerwonego niż zwykle, Grzybięnia z siwą głową opartą na ręce. Stary, ruszający nastrożonymi wąsikami, przypominający rozszoszonego morsa. Nowak, kuśtykając, podszedł ku niemu. Ludzie cisnęli się za jego plecami, niespokojni i zaciekawieni.

— Co tu się u was dzieje, Grzybięń?

Tamtego aż poderwało.

— Co się ma dziać! — wrzasnął. — Wygnanem Emila, bo się tu szwendal jak ostatnia łajza! Palcem nie ruszył, ale na ojca szczechał! Popręcało się tym młodym w głowach, to i macie! Formę diabli wzięli. Świrszcz w lazarecie...

— A wszystko przez to, że wam Emil Kusipurtka schował! — wtrącił niby to współczująco Szwedowski.

Brygadziśta spojrział na niego niezadowolony. Ludzie zaczęli się podśmiewać! Ale Grzybięń nie obraził się. Przeciwnie, jakby ochłonął i odpowiedział z godnością:

— Wy wiecie swoje, ja swoje!

Nowak chciał już zabrać głos, ale w tej samej chwili ktoś trącił go w ramię. Odwrócił sioń głowę: Po- znał Łabędzkiego, który razem z nim zasiadał w egzekutywie.

— Towarzyszu Nowak! — zaszeptał hutnik — Głowę wam daję, że Maj maczał w tym palce! Ciągłe tu przy- lażał i głądził z Grzybięniem o tym Purtku, jakby sam w to wierzył...

Niter pokiwał głową. Nie powiedział nic, ale pomyślał, że widocznie na dnie tego, co sam brał czasami za uprzedzenie do lisio uprzejmego magazyniera, musi leżeć chociaż odrobina prawdy, skoro inni czują to samo. Warto by przewietrzyło trochę przeszłość pana Maję! Kto wie...

Tymczasem Grzybięń rozgadał się i klarował coś z przejęciem swym głucho dudniącym głosem. Niekiedy uśmiechali się pod nosem, ale byli też tacy, co słuchali go z rozdzianymi wionymi gapiowato ustami jak dzieci bajki.

Nowak zaczął szukać wzrokiem Szwedowskiego, ale nie było go już tutaj. Musiał po cichu odejść. Zamiast niego niter dostrzegł rzekomego sprawcę całego zamieszania. Stał sobie skromnie w kącie, oparty o kawał szczyby. Tępcowe refleksy, ślizgały się po podłużnym, metalowym kształcie, przypominającym stalagmit o ludzkich rysach. Światło, załamujące się w żelaznych soplach, nadawało martwej bryle niepokojące pozory życia. Kusipurtki! Kaszubski diabeł, który trzymał sztamę ze zdziwaczalnym Grzybięniem! Brygadziśta poczuł niezrozumiałą niechęć do tego kawału żelaza. Miał nieprzepartą ochotę porwać „diabła” i wrzucić go w ogień.

Przelamał jednak w sobie tę śmiesz- ną chęć. Powoli ruszył ku wyjściu. W połowie drogi odwrócił się i r- jeszcze spojrział na Kusipurtkę. W blaskach pieca stalagmit miał wyraźne drwiny wyraz, jakby uśmiechał się złośliwie...

— I tak cię, cholero, stąd wyku- rzymy! — pomyślał Nowak. — A swoją drogą, że on mi kogoś z pyska przypomina! Czy nie Maję?...

Wyszedł popiesznie z odlewni. Po- zostali rozeszli się wkrótce także do swych zajęć. Grzybięń zabrał się znowu do roboty. A Nowak? Nowak zaraz po zmianie poszedł do perso- nalnego i razem z nim długo wertował akta kartoteki.

*) (Część druga fragmentu powieści w następnym numerze)

JAN JELONEK

PORĄBKĄ STARTUJE W SOCJALIZM

Sprawa zespolowego zagospodarowania nieużytków, pozostałych w spadku po bezplanowej gospodarce kapitalistycznej, na peryferiach kopalni, o której zaczynały myśleć mieszkańcy gminy Porąbka w Zagłębiu Dąbrowskim — nie jest sprawą ani blachą, ani mało ważną.

Wszelstrosonne i intensywne wykorzystanie zdolności produkcyjnej każdego skrawka ziemi dla przyspieszenia rozwoju naszej gospodarki — jest jedną z podstawowych wytycznych całego Planu 6-letniego, który przecież tak wielki nacisk kładzie na pełne wykorzystanie wszystkich istniejących rezerw produkcyjnych w terenie.

Sprawa form organizacyjnych tego zagospodarowania i kierunków

Po dwumiesięcznym pobycie w sanatorium, natychmiast udatem się do biura G.S. aby w tej naszej kuzni pracy spółdzielczej dowiedzieć się o przemianach w życiu gromady.

W Gminnej Spółdzielni w r.o. 40 (było to w porze wieczorowej), zastałem cały zarząd. Prezes A. Szczygiel z sekretarzem A. Trybałą usiedli przy wykładzie członków, a kierownik Z. Działach, który przed chwilą dopiero przyjechał z terenu, przegladł cały plik rachunków i korespondencji.

Zaczęła się rozmowa, przerywana od czasu do czasu telefonami. Zaczęło się, jak zwykle, od bieżących spraw spółdzielni a więc brak paszy, ale dostatek nawozów potasowych i fosforowych a brak azotowych itp. W pewnym momencie Działach powiedział do Szczygla:

— Prezesie, a pokażcie Jasiowi nasz protokół.

Stało ciemno na białym w protokół, że w dniu 4 lutego br. część rolników gromady Porąbka w liczbie 28 osób, podjęła uchwałę zorganizowania spółdzielni produkcyjnej warzywno-sadowniczej.

— Ale jak do tego doszło w tak krótkim czasie?

— Ano, widzisz — powiada Działach — Po twoim artykule we „Ws” weszła w nas odwaga i jako zeteselowy i samopomocowy postanowiliśmy zwołać zebranie. Chodziło nam w pierwszym rzędzie o zorganizowanie pracy zespolowej na wspólnocie gromadzkiej, która mimo możliwości gleby, leży dotąd prawie od- togiem. Poleciliśmy więc sotyssowi, aby porozumiał się z prezesem GRN i zwołał zebranie tych rolników, dla których projektowane było w czasie niedokończonego podziału przedwo-

produkcyjnej rolnicy wymaga jednak bardzo starannego przemyślenia, aby zbyt pochopnie nie naruszyć możliwości produkcji, istniejących tam kopalni węgla, lub doprowadzić do konfliktów pomiędzy miejscowymi górnikami a rolnikami.

Sędzimy, że sprawa ta, ze względu na swój typowy charakter dla wielu okęgów górniczych Górny i Dolny Śląska, Rzeszowszczyzny (w okolicach szybów naftowych) i Kielecczyzny (w rejonach kopalnictwa rud) stanie się przedmiotem wnikliwej analizy właściwych czynników partyjnych i instytucyj gospodarczych. A męciatwa mało i średniorolnych chłopów z gminy Porąbka skierowana we właściwe łożysko. Red.

jennego przydzielenie tego pastwiska. I tak się odbyło jedno i drugie zebranie.

— A czy na zebraniu był przewodniczący GRN ob. Szywała lub ktoś z Gminnego Komitetu P.Z.P.R.?

Niestety, ani ob. Szywała ani nikt inny oficjalny z podstawowej organizacji nie był na naszych zebraniach. Na drugim zebraniu był tylko wiceprzewodniczący GRN ob. Lorenz Czesław. Natomiast w Będzinie na jakimś posiedzeniu urzędowym wysłaliśmy się z nas. Powiadają — chłopcy z Porąbki chcą zakładać spółdzielnię produkcyjną na wyrobiskach kopalnianych.

— A czy na wasze pisma był jakiś konkretny odzew z Będzina?

— Niestety był, ale taki, że nam się wszystkiego odechciało. Przyjechało dwóch delegatów, z PZGS i jeszcze jakiś i powiedzieli nam, że ta sprawa się nie uda. I tak ci nam pokrzyżowali nasze zamiary, że nawet protokółu nie pisał, bo diabli nimie brali, że zamiast ludzi i nas zachęcić, to jeszcze nam sprawę zepsuli.

— Wielka szkoda, Zygmunt, żeś z tego zebrania protokółu nie zrobił. Byłby nam się dzisiaj przydał.

W czasie tej rozmowy weszło do biura trzech rolników: Łuckoś, Czap i Szczygiel Jan. Przez chwilę z zaciekawieniem przysłuchiwali się naszej rozmowie, wreszcie Czap, że to trochę nerwowo, powiada:

— A, bo i prawda. Lepiej byćście sobie Janie, głowy tymi sprawami nie zawracali i wrógów nie robili.

Już i tak we wsi burza się na Łuckośa i Działach o tą spółdzielnię. Prawdziwo i bez spółdzielni powoli zaorwamy i uprawimy. Nie trza nam tu narzucać żadnych obowiązków.

A jak weźmiecie pastwiska pod spółdzielnię i posadźcie na nich drzewa owocowe i będziecie uprawiali warzywa, to nie będziemy mieli gdzie koni spać. A tak jak jest dotychczas to chociaż konie i krowy mają gdzie pochodzić na świeżym powietrzu.

— Hala, koledzy — powiedział. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba. O twoich, Antek, zarzutach czytałem w protokółach, które tu leżą na stole. Nie są to sprawy istotne. Istotne jest to, że już 10 lat upłynęło od prowizorycznego podziału pastwisk a mało który uprawiał swoją działkę. Teraz niby chciesz ją zaorac, a konie chcesz paść na cudzych jeszcze nie uprawionych? A ja wiem, że ty działki nie zaorasz, bo się będziesz obawiał, że gdy ją uprawisz i obsiejiesz to inni krowami i koniami uprawę ci zniszczą. Robisz, jak nieprzy- nierając ten pies, co to sam na paździerz nie leży i drugiemu nie da.

— No dobrze, ale i władze nasze z powiatu też nam tego nie radzą i raczej się wysmiewają.

— Bo nie mają zielonego pojęcia o rolnictwie w ogóle, a o sytuacji gospodarce Porąbki w szczególności. Panie Łuckoś, zna pan przecież tabele naszej wsi.

Po wyłączeniu niektórych gospodarstw w gromadę Maczki, Bór i Kazimierz pozostaje na terenie Porąbki około 300 ha gruntów ornych, obsiewanych przez ponad 400 użytkowników. Pola w kilku dziedzinach są popatrzone domami i koloniami tak, że tylko po zachodniej stronie Porąbki jest jeden trochę większy obszar pół złożony z działek sukcesyjnych od 5 do 7 m. szerokości. Gdybyśmy chcieli zrobić rolniczą spółdzielnię produkcyjną, to by nam brakło ziemi na działki przyzgodowe tym bardziej, że 80% użytkowników to górnicy i pracownicy kopalni i przemysłu. Obok tych 300 ha gruntów ornych mamy w Porąbce jeszcze około 350 ha łąk i pastwisk rozrzuconych na północ, wschód i południe od Porąbki oraz leżących pasem między Białą Przemszą i lasem. Nie wiem, czy 10% tego obszaru jest pod kosą, a reszta to albo wygoły od potopu nie uprawiane, albo nadprzemysłowe łąki przesuszone albo wreszcie na wschodniej stronie zatopione przez obniżenie się gruntu na skutek działania górniczego kopalni Kazimierz.

Czy my rolnicy z Porąbki nie mamy prawa się zreszyć i z pomocą państwa uprawić półtorę setki wygońów i odnowić drugie tyle łąk? Przecież spółdzielnia produkcyjna nie jest dla wyzyskania chłopów, ale jest

organizacją, przez którą rolnicy mają dojść do dobrobytu. Właśnie te wszystkie prace, które nie dają się przeprowadzić w pojedynkę, przeprowadzi się pracą gromadzką, zespoloną. Szczególnie w naszym Zagłębiu Dąbrowskim musimy dążyć do tego, aby zwiększyć przestrzeń gruntów będących pod intensywną uprawą. Za mało mamy ziemi, abyśmy sobie lekcewazyli wszelkie niewykorzystane możliwości.

Może nasi działacze obawiają się, że spółdzielnia ta, pierwsza w okręgu przemysłowym, założona w mało sprzyjających warunkach glebowych upadnie i narazi ich i nas na kompromitację? Ja się tego nie obawiam. Przede wszystkim wszyscy członkowie tej spółdzielni pracują zarobkowo i mają swoje małe kawałki kawałki gruntu. Brak dochodu w pierwszym czy drugim roku przy konieczności czynienia nakładów pracy i kapitału w tym rodzaju przedsięwzięciu, jakim jest spółdzielnia sad i stawy, nie postawi ich w obliczu ruiny. I tak dotychczas z tych terenów korzyści nie ciągną to mogą i nadal się na nie nie oglądać. Po drugie, jak to wyzytałem w protokole, w skład zarządu przyszłej spółdzielni wchodzi Szczygiel, Łuckoś, Działach i Trybała. Ci ludzie jeszcze nie spalili się cudzą krzywdą, a swoją pracę przy organizowaniu i rozbudowie oraz prowadzeniu Gminnej Spółdzielni wykazali maksimum poświęcenia, uspołecznienia i dobrej woli. Ci ludzie wraz z tuzinem innych z jednego małego sklepiku doprowadzili w ciągu 5 lat spółdzielnię do 1260 członków i 9 punktów sprzedaży oraz milionowych obrotów. Ci ludzie dadzą sobie radę z nowoorganizowaną spółdzielnią produkcyjną.

Nie trzeba się obawiać, że za mały teren na razie pod spółdzielnię przeznaczamy. My zaczynamy od małego w myśl zasady, że „nie od razu Kraków zbudowano”. Zaczynamy na jednym odcinku, gdzie najłatwiej będzie przeprowadzić wspólną uprawę i porobić inwestycje w postaci urządzeń stawowych i wysadzenia drzew owocowych. Na dalszym planie są łąki zatopione od odwodnienia. W zarybieniu oraz łąki nadprzemysłowe. Gdy zrobimy spółdzielnię, to może leśnictwo pójdzie nam na rękę i ten pas łąk odległych od nas i nieopieczonych do zespolowej gospodarki przylączy do swoich lasów i zalesi, a nam przydzieli graniczącą z naszą spółdzielnią kawałek zagajnika. A nie da się to zrobić, to zawsze zespolowo będzie nam łatwiej coś zrobić z tymi łąkami aniżeli w pojedynkę. W każdym

razie, w/g mojego przekonania do 1945 roku Porąbka nie miałaby ani jednego ha ziemi rolniczo nie wykorzystanej.

Ma pan rację i ja też mam takie zdanie, — zwraca się Łuckoś, społecznik z krwi i kości, ale malkontent dla sportu — ale co my zrobimy, jeśli wbrew państwu twierdzeniu, władze nie zechcą nam udzielić swej pomocy.

— To trudno. Głową muru nie przebijemy i najwyżej nie wykonamy swego planu w 100%. Bez łąk i siana nie podniesiemy hodowli, a na świeże mleko czeka tysiącna rzesza dzieci górniczych. Nie wierzę jednak, aby porąbskiemu chłopu, który 8 godzin spędza w podziemiu kopalni a resztę nad uprawą swojego kawałka roli, nie przyszły z pomocą organizacje polityczne i instytucje państwowe. To tylko przed wojną, gdy w rządzie byli panowie i kapitałiści nie dbali o dobro chłopów i robotników. Tak, jak właściciele kopalni Kazimierz i Juliusz, którzy z jednej strony spowodowali zatopienie jednych łąk i przesuszenie innych nad Białą Przemszą. Woleli nam za to płacić minimalne odszkodowanie byle tylko nie dopuścić do odwodnienia czy nawodnienia zniszczonych terenów. Zdawali sobie sprawę, że gdyby chłop porąbski podniósł się materialnie, to wtedy utraciliby robotnika zdanego na łaskę i niefasę ich przepaszcistych apetytów. Dzisiaj o to nie ma obawy.

— Dobrze, panie Jasiu, a gdzie my będziemy krowy i konie pasać gdy łąki i pastwiska zabierzemy do spółdzielni?

Przede wszystkim nie „zabierzemy”, bo spółdzielnia nie będzie cudzą własnością ale naszą. Dalej, ja sam chętnie oddam swoją łąkę do wspólnej uprawy, mimo, że nie jest jeszcze zatopiona, bo wiem, że przy wspólnej uprawie, nawożeniu oraz koszeniu, koszt produkcji siana wyniesie o wiele mniej, aniżeli to dzisiaj mnie kosztuje. Poza tym będzie go o wiele więcej i nie będę musiał kupować ubocznie placąc po 80 zł za q. Jeśli chodzi o letnie paszenie krow, to przy wzorowej uprawie pastwisk, jedna czwarta obecnego obszaru w zupełności wystarczałaby na wyżywienie naszego nawet powiększonego pogłowia bydła. Gdyby nawet tak się pogłowię bydła powiększyło, że trzeba by połowę pastwisk przeznaczyć dla bydła, to i tak druga połowa może być przeznaczona na inne uprawy. A to, że drzewa owocowe będą rosły, to raczej podniesie ich dochodowość, a nie obniży wartości uprawianej powierzchni, gdyż w go-

spodarce spółdzielczej zastosowali- byśmy najnowocześniejsze metody agrotechniki radzieckiej z metodą Williamsa na czele.

Na razie jest najważniejsze, aby się zaczęła naprawdę porządna praca organizacyjna. W planie na ten rok byłoby: 1) prawne zorganizowanie spółdzielni, 2) uzyskanie kredytów na inwestycje, 3) wyrównanie terenu, 4) przeprowadzenie uprawy do czarnego ogoru i obsianie nawozami zielonymi oraz wyporządzenie urządzeń stawowych pozostałych z poprzedniej hodowli ryb. Przeprowadzimy to na wzór spółdzielczych pastwisk górskich.

Najważniejsze jednak, aby zmienić nastawienie dwóch przeciwnych obozów. Z jednej strony czynnik urzędowy, jak się orientuję z twojego, Zygmunt, gadania, boją się kompromitacji, a z drugiej część naszych sąsiadów obawia się „niewolnictwa”. A my się niczego nie boimy. Tylko trochę ciekaw jestem, czy znajdzie się taka instytucja, która uwierzy w nasze chęci, siłę i zdolności i zechce nas poprzeć. Ponieważ w Porąbce za 5 lat istnienia GS ani jeden członek zarządu czy personalnie nie popieścił nie karygodnego, a na odwrót prawie każdy wykazał bardzo dużo uspołecznienia i poczucia solidarności spółdzielczej, przeto mam pełne zaufanie i zarówno do nich jak i do całej naszej gromady, z której wszyscy wyszli, że organizując tę nową placówkę wykonamy fundamenty pod przyszły gmach dobrobytu porąbskich.

— Wszystko to bardzo pięknie, ale ja się i tak nie wpiszę do tej spółdzielni!

— I ja też nie.

— Moi drodzy, Nie byliście przy założeniu GS-u i koła ZsCh, a dzisiaj jesteście ich członkami. Tak samo po roku istnienia spółdzielni produkcyjnej zgłosicie się sami, dobrowolnie. Jesteście przecież biedotą wiejską. Organizowanie przez nas na razie Rolniczego Zrzeszenia Spółdzielczego absolutnie nie daje powodu do jakiegokolwiek tryzaku. A nim w przyszłości będzie rozszerzone, pogłębione i przekształcone na naprawę społecznej gospodarki, to przez ten czas dpońście do swej roli zarówno zarząd jak i my wszyscy. Jest nas w tej chwili mała gromadka, ale wierzę, że gdy inni zobaczą postępy prao to nasza gromadka bardzo się powiększy.

— No to — powiada Łuckoś, na razie poczekamy jeszcze na odpowiedź z CRS-u, a gdy jej się nie doczekamy, to w końcu miesiącą zaciśniemy sztrum

Jan Jelonek

Helena Żabikówna

Marian Wilk

O sztuce twórczej pracy

MAKSYM Gorki w swoim zasile ukazał pisarzem, który określił cały późniejszy rozwój literatury realizmu socjalistycznego: „Głównym bohaterem naszych książek powinna być praca, czyli człowiek, który jest u nas uzbrojony w całą potęgę techniki współczesnej, jest organizowany przez proces pracy i z kolei organizuje pracę, czyni ją łatwiejszą i wydajniejszą, podnosi ją do poziomu sztuki. Musimy nauczyć się pokonywać pracę jako twórczość”. Określenie Gorkiego charakteryzuje doskonale istotę rzeczywistości radzieckiej i literatury, która tę rzeczywistość odzwierciedla. Twórcy stosunek do pracy jest siłą napędową niezliczonej ilości tych osiągnięć, którymi może się szczycić naród radziecki. Stanowi on również jeden z głównych elementów historycznego procesu kształtowania się społeczeństwa komunistycznego i jego moralności, będącego niewyczerpanym źródłem bogatej i różnorodnej tematyki literatury radzieckiej. Książka Riabokłacza „Maksym z kolchozu „Zorza”*) jest pozycją z długiego szeregu owych utworów, które proces ten odzwierciedla, wpływając jednocześnie na jego przyspieszenie.

Riabokłacz ukazuje nam wieś ukraińską w trudnym okresie lat 45-46, bezpośrednio po wielkiej wojnie z faszystami, kiedy ogromny zniszczeń mógł równać się tylko ogromowi pracy i ofiarności, jakie naród radziecki włożył w powojenną odbudowę i rozwój gospodarki narodowej. Kolchoz „Zorza”, o którym pisze Riabokłacz, cierpi jednak nie tylko z powodu zniszczeń, jakie poczyniła wojna. Główną przyczyną dla której „Zorza” posiada opinię najbardziej zacołanego kolchozu w całym rejonie, jest zła kierownictwo. W okresie, kiedy cały naród przystąpił do jak najszybszej likwidacji zniszczeń wojennych, gdy wszędzie widzi się „inicyjatywę powszechną — od rolnika do ministra”, w „Zorzy” wszelkie próby owej twórczej inicjatywy spotykają się z zdecydowanym sprzeciwem ludzi zarządzających kolchozem. Przewodniczącym — Wasilijem Osipowiczem Garkuszą — pragnie żyć spokojnie bez trosk. Socjalizm wyobraża sobie jako „wygodne życie”, i osiągniętych odpowiedzi na minium tej wyгоды, nie zamierza zbyt często troszczyć się o resztę. Wystąpienie Maksyma Nazarovicza Zolototysiacznika przerywa ten błogostan i spotyka się z ostrym sprzeciwem Garkuszy i spółki. Bowiem przewodniczący w swej akcji łatania tylko najkonieczniejszych dziur nie jest osamotniony. Pomaga mu w tym wytrwale — i bodejże z większą jeszcze zaciętością — brygadziści brygady rolnej, Gawryła Pomicz Sapun. Do spółki owej należy również, chociaż wbrew własnemu przekonaniu, kierownik fermi hodowlanej — Timofiej Szuripa. Wbrew własnemu przekonaniu — gdyż Timofiej zdaje sobie sprawę z licznych niedociągłości przewodniczącego, uprzedza go nawet, ale stanowi „opozycję” tylko na własny użytek, trzymając się niezmiennej mądrej, jak mu się wydawało zasady: „nie zaczepiaj innych, jeśli chcesz, żeby ciebie nie zaczepiano”. W tej atmosferze „polityki po linii najmniejszego oporu” inicjatywa Maksyma Zolototysiacznika musiała oczywiście doprowadzić do gwałtownego konfliktu. Już na pierwszych stronach książki konflikt ten zarysowuje się ostro i wyraźnie. Autor ostrzegł się tu zarówno dłużym w akcji, jak i jakiegokolwiek dysproporcji w charakterystyce dwóch grup ludzi, działających na terenie kolchozu, nie zatajał sprzeczności między nimi, co mogłoby zagrażać, gdyby charakterystyka któregoś obozu wypadła zbyt powierzchownie.

Problem przedstawiony przez Riabokłacza konfliktu, to jeden z licznych problemów typowych dla późniejszych etapów rozwoju społeczeństwa radzieckiego. Jest to już ten etap rozwojowy, na którym walka rozgrywa się nie pomiędzy zwolennikami i wrogami gospodarki kolchozowej, lecz między kolchoznikami, którzy różnią się rozmaitym poziomem uświadomienia. Dla Maksyma Zolototysiacznika jasne jest, że „nie ma w kolchozie nieswój sprawy”, że „ma obowiązek dbać o się państwo”, która przecież zależy między innymi od wysokości kolchozowych zbiorów. Dla Garkuszy, szukającego w dążeniu do socjalizmu (utęsznianego zresztą z niezbyt wyszukanim dobrobytem) jak najwygodniejszej ścieżki — miarą wysiłków są tylko najkonieczniejsze potrzeby. Ten minimalistyczny program odpowiada również Sapunowi i Szuripie, którzy mają w sobie wiele jeszcze z kulaćkiego zmysłu wyciągania korzyści z cudzej pracy przy jak najmniejszym wysiłku własnym. Wystąpienie Maksyma i niechętny stosunek kierownictwa kolchozu do tej propozycji — rzucają właściwie światło na sytuację w kolchozie, pozwalając właściwie ocenić tę sytuację ludziom dotychczas biernym i poddającym się owemu dość sennemu nastrojowi zorniańskiej atmosfery (Mikita, Globa). Inicjatywa Zolototysiacznika mobilizuje ludzi do walki o zmianę życia w „Zorzy”, wpływa bezpośrednio na szybki rozwój kolchozu. Walka o nowy stosunek do pracy, o lepsze zbiorów, o zracjonalizowanie gospodarki rolnej, walka z zacołaniem elemen-

tów niedojrzałych ideologicznie — to problemy książki Riabokłacza, a zarazem problemy, które odzwierciedlają istotę zagadnień wsi radzieckiej.

Konflikt w powieści Riabokłacza jest postawiony ostro i ciekawie, zagadnienie typowe załamuje się w pryzmacie indywidualnych losów bohaterów, nie zniekształcając obrazu. To jest jednak dopiero pierwsze stwierdzenie. Pozostaje jeszcze zagadnienie drugie: jak konflikt ten został rozwiązany?

Tu można by się obawiać, że autor nie wybrnie z zagęszczonej przez siebie sytuacji. Jakże dane mamy na to, że Zolototysiacznik zwycięży? Ten stary człowiek, którego żona nazywa „dzieckiem z broda”, posiadającą wprawdzie bynajmniej nie dziecięcą wytrwałość ale to za mało jeszcze, by przeciwstawić się trzem ludziom, mającym w kolchozie wprawdzie nie szacunek, ale oficjalną władzę, rozumianą przez nich „przeszta” wyraźnie uzurpatorsko, pomijając oni bowiem nawet uprawnienia zarządu. W samej „Zorzy” nie ma właściwie realnej siły, zdolnej przeciwstawić się Garkuszy i Sapunowi. Ale na „Zorzy” świat się nie kończy, kończy się natomiast władza zorniańskich kierowników. Autor dla rozwiązania problemów wprowadza tu istotnie decydujący czynnik: organizację partyjną. W sposób prosty, wynikający z organizacji z akcji, a nie będącym jakimś „deus ex machina”, uwydatnia ogromną rolę partii na odcinku życia kolchozowego. Wystąpienie Zolototysiacznika ujawnia sekretarzowi Rejkomu — Pietrowowi istotne przyczyny niedociągłości „Zorzy”; inicjatywa Maksyma, spotykając się z brutalnym sprzeciwem kierowników kolchozu — wykrywa przyczynę zła jak papierkę lakmusową: natychmiast i bez wątpliwości. Garkusza zostaje pociągnięty do odpowiedzialności po linii partyjnej, a umiejętna, wychowawcza polityka Pietrowa wpływa na uświadomienie kolchozowników i mobilizuje ich do pomocy Zolototysiacznika. Docenienie roli partii oraz pokazanie jej siłnej polityki — to jedna z głównych zalet książki. Zaletą jest również postawione przez Riabokłacza bardzo ostro zagadnienie samokrytyki partyjnej. Garkusza należy do partii. Wielec nawet, jest jedynym przedstawicielem partii na terenie kolchozu. Postępowanie jego zawiera więc podwójną winę: wobec kolchozu, czyli szerzej: wobec całego państwa oraz wobec partii. Autor nie waha się ukazać członka partii, który popełnia kardynalne błędy. Przeciwwstawia Garkuszę Pietrowa i jego pozytywną rolę w przezwyciężeniu szkolidowego „Zorzy”, podkreśla jednak wyraźnie zjawisko zwycięstwa elementów twórczych i wartościowych nad elementami stagnacji.

Garkuszę uprzedzono, że zostanie usunięty z partii, jeżeli w ciągu roku nie wypracuje „Zorzy” na jedno z czołowych miejsc wśród spółdzielni rejonu. Autor pozostawia czytelnikowi pełność, że przewodniczący „wyważy” się z tego zadania. Po pierwsze dlatego, że dzięki zorniańskim doświadczeniom przeszedł dobrą szkołę, po drugie — nie jest już w „Zorzy” sam: na terenie kolchozu działa organizacja partyjna. Przeto w „Zorzy” już się dokonał, tworczą inicjatywą bohatera powieści, po partego w swym działaniu przez partię, uświadomienia i uaktywnienia innych kolchozowników.

Niewątpliwą zasługą Riabokłacza jest to, że sprawy partii postawił on tak ostro, że nie potraktował ich jednostronnie. Ostrość zarysowanych problemów, ostrość występujących i tu konfliktów, zwycięska walka zdrowego elementu partyjnego z elementami szkodliwymi — to fakty, które książkę Riabokłacza czynią dojrzałą, pogłębiającą problem służenie przez autora postawionym i słusznie rozwiązany.

Na te omawiane konfliktów w powieści widać wyraźnie zwycięstwo prawdy, iż „człowiek jest organizowany przez proces pracy i z kolei organizuje pracę”. Praca wpływa tu na ludzi, kształtuje ich psychikę, zmienia całkowicie ich pogląd na życie (problem Nastii). Entuzjazm pracy uaktywnia najbardziej nawet biernie jednostki, zmusza je do działania. Brygada, która do pomocy dostaje Zolototysiacznik, jest złożona z ludzi bynajmniej nie cieszących się opinią pracowitych. A jednak zapal starego kolchoznika, jego sztuka twórczej pracy, prowadzącej do ulepszenia gospodarki pociągają za sobą innych. Zautomatyzowanie pracy, pozabawienie jej owych elementów twórczych, niwelowanie wszelkiej inicjatywy — wszystkie te wytyczne „polityki” Garkuszy i Sapuna uciły zorzian nie najlepszego wywiżywania się do swoich obowiązków. Ale ci sami ludzie „patrz na świat innymi oczami”, gdy przekonali się o wartości celowej i przemysłowej pracy.

Jeszcze wyraźniej zjawisko przemiany człowieka przez pracę ukazuje Riabokłacz na przykładzie Nastii i konfliktu, jaki wytworzył się między nią, a jej mężem — Timofiejem Szuripą. Przez trzy lata pożycia małżeńskiego Nastia nie udzielała się życiu w kolchozie, była nawet zwolniona od pracy na podstawie zaświadczeń lekarskich, o wyrobieńce których Timofiej nalegał chęć, że by Nastia „żyła tylko dla niego”. Młoda dziewczyna przyzwyczaiła się do tego stanu rzeczy, któremu sprzyjała senna atmosfera kolchozu. Ale zmiany jakie wniosła ze sobą inicjatywa Zolototysiacznika nie ominęły



swoim wpływem i Nastii. W porównaniu ze starym Maksymem, zdobywającym się na otwartą walkę i z entuzjazmem przeprowadzającym swój plan, Szuripa ze swym niezdecydowaniem i niedną, płaską troską wyłącznie o swoje bezpieczeństwo staje się mały i nieważny. Nastia zgłasza się do pracy w brygadzie Maksyma. Tam poznaje sztukę twórczej pracy wymagającej ciągłej czujności i wysiłku, ale dającej za to wspaniałe rezultaty. Dziewczyna poznając piękno pracy zaczyna pojmować istotną wartość życia odwracając się stanowczo od swojej dawnej, bierniej postawy. Konflikt między nią a Szuripą pogłębia się, wreszcie doprowadza do zerwania.

Problem Nastii jest ciekawy, Riabokłacz przedstawia go jednak zbyt niedokładnie, mogłoby to nawet nazwać uproszczeniem. Czy to znaczy, że taka sytuacja zdarzyć się nie mogła? Owszem, mogła i nie o to należy mieć pretensje do autora. Konflikt jest bardzo prawdopodobny i jego ostateczne rozwiązanie również, ale czytelnik wciąż odnosi wrażenie jakby wiadomości o Nastii były niepełne. Wiemy o niej tylko na podstawie zewnętrznych opisów jej czynności, na podstawie jej działania domyślamy się wprawdzie o jej przeżyciach, ale od autora dowiadujemy się o nich zbyt mało. Riabokłacz ukazuje Nastię zbyt migawkowo, widząc pewne braki w jej charakterystyce, równające się uproszczeniu całego, związanego z nią problemu. Zarzut ten dotyczy zresztą nie tylko Nastii, choć jej w największym stopniu. Autor niekiedy poprzestaje na deklaracyjnych stwierdzeniach w opisie działania swych bohaterów. Łączy się to zarówno z szybkim tempem akcji, jak i z charakterem przedstawionych konfliktów, które rysują się wyraźnie a rozwiązywane są szybko i radykalnie. Wynik jednak niekiedy jest taki, że wyraźniej widzimy problemy niż ludzi.

Mimo wymienione zresztą niewielkie braki, książka Riabokłacza jest pozycją cenną i ciekawą. Przynosi prawdziwą wiedzę o wsi radzieckiej, obrazuje dynamikę walki o lepszą gospodarkę rolną ukazuje w postaci Zolototysiacznika bohatera, który potrafi przezwyciężyć trudności, wyzbywać się własnych słabości i swym entuzjazmem promieniować na innych. Riabokłacz dostarcza nowe cechy, charakterystyczne dla społeczeństwa radzieckiego w tym etapie budownictwa socjalistycznego i stopniowego przechodzenia od socjalizmu do komunizmu. Praca — to organiczna potrzeba bohatera książki, który pracę tę „organizuje, czyni ją łatwiejszą, i wydajniejszą, podnosi ją do poziomu sztuki”. Swoje przedsięwzięcie Maksym wykonuje w oparciu o kolektyw, o rozwój współzawodnictwa pracy. Ludzie z kolchozu „Zorza” walczą z dwoma wrogami: z zakorzenionymi przeżytkami przeszłości w swoim własnym stosunku do spraw kolchozowych oraz z przyrodą, która pokonują dzięki ogromnym wysiłkom i zracjonalizowanej gospodarce. Na początku 1918 roku Lenin mówił, że lud posiada wiele talentów organizatorskich: „Są one tylko przytłumione. Trzeba im pomóc rozwijać się”. Artystyczne uwydatnienie tej zasadniczej prawdy, ukazanie procesu rozwoju owych zdolności na obranym wycinku życia narodu radzieckiego — to duże osiągnięcie Riabokłacza.

Dobrze się stało, że powieść „Maksym z kolchozu „Zorza” w popularnym trzytomowym wydaniu „Czytelnika” trafiła do szerokiego mas społeczeństwa polskiego. Pokazuje ona życie kolchozu i zwycięstwo gospodarki kolchozowej. Wobec wielkich perspektyw rozwojowych naszej wsi doświadczenia zorniańskie mogą stanowić nie tylko pasjonującą lekturę, ale i wiele uczący przykład pracy zwanego kolektywem, który przeszedł już szkołę walki o budowę społeczeństwa socjalistycznego.

HELENA ŻABIKÓWNA

*) I. Riabokłacz, Maksym z kolchozu „Zorza”, Czytelnik, 1950, Biblioteka Trzytomowa.

„Mitrea Cocor”

o jej walce z bogaczami wiejskimi i obszarnikami rumuńskimi. Co prawda o tym wszystkim pisał Sadoveanu i w swych poprzednich utworach literackich. Jednak w nowej powieści jest coś więcej, do starej problematyki przeniknął nowy pierwiastek. Żeby się o tym naocznie przekonać, trzeba przytoczyć pokrótce chociażby treść powieści.

W zapadzie wsi rumuńskiej, w Małurenach, vegetuje wiejski chłopak Mitrea Cocor. Jego starszy, przebiegły brat Giea, odbiera mu skrawek ziemi, który Mitrea otrzymał w spadku po śmierci rodziców. W ten sposób, nie posiadając ziemi, nie mając innych możliwości zarobkowania na życie, Mitrea zaczyna pracować jako parobek u obszarnika Krysty. Biedny chłopak wiejski, analfabeta, znosi niewolniczą niemal zależność od swego pana. Wybuch drugą wojną światową. Jak tysiące innych wieśniaków rumuńskich Mitrea dostaje się na front; jak tysiące innych rówieśników miał się Mitrea stać mięsem armatnim w hitlerowskim pochodzie na Związek Radziecki.

Z początku bohater Sadoveanu nie zdaje sobie sprawy z tego, że znajduje się na służbie u wroga, powoli jednak uświadamia sobie całą okropność i zbrodniczość antyradzieckich pochodu. Wszystko to jest na razie słabe, raczej instynktowne, aniżeli świadome. Dlatego nie rodzi się na razie bunt, rewolucyjny spręt. Reakcją Mitrei jest jeszcze reakcja polowicza, reakcją człowieka, który kocha życie, nienawidzi wojny, ale nie dostrzega jeszcze jej właściwych źródeł, sprężyn społecznych. Ale przychodzi Stalingrad. Tu Mitrea dostaje się do niewoli radzieckiej; tu przeżywa kryzys, który po

1. Michael Sadoveanu jest niewątpliwie największym współczesnym pisarzem Ludowej Republiki Rumuńskiej. Należąc do starszego pokolenia pisarzy rumuńskich, może się pochwycić nie tylko bogatym dorobkiem pisarskim, ale także wielkim wpływem, jaki wywierał i nadal wywiera na młodszych pisarzy. Droga pisarska Sadoveanu była trudna. Od pierwszych prób na polu literackim pod koniec ubiegłego stulecia, aż do wyzwolenia kraju spod jarzma faszystowskiego, wielki pisarz zmagał się z trudnością, nieuchronnie towarzyszącą każdemu prawdziwemu artyście w ustroju burżuazyjnym.

Sadoveanu urodził się w listopadzie 1880 roku, w mieście Pascani w północno-wschodniej Rumunii. Mając 17 lat debiutował w jednym z ówczesnych czasopism literackich. W tym okresie wielkie dzieła rumuńskiego realizmu krytycznego ukazywały się coraz rzadziej. Marazm literatury burżuazyjnej przenikał również na grunty rumuński. Sadoveanu nie uległ jednak prądom dekadentki; kontynuował on starą tradycję literatury rumuńskiej, tradycję postępowych klasyków rumuńskich, wśród których znajdowali się między innymi Ion Creanga i Michael Eminescu.

W czasach odrotu literatury rumuńskiej od zagadnień życia społecznego siła utworów Sadoveanu polegała przede wszystkim na zdrowym optymizmie, niewyczerpanej wierze w siły ludzkie, w człowieka, na szczerą miłość, jaką autor żywił dla uciskanych mas ludowych, szczególnie dla biedoty wiejskiej. Już wtedy utwory wielkiego powieściopisarza rumuńskiego odznaczały się olbrzymią znajomością życia, znajomością zagadnień wsi rumuńskiej, szczególnie różnych form wyzysku proletariatu wiejskiego. Już wówczas tworzył Sadoveanu technię prawdziwym realizmem, godnym jego wielkich poprzedników. Taki był początek słusznej i pięknej drogi pisarskiej Sadoveanu, której wielki pisarz nigdy nie opuścił.

Burżuazyjna historia i krytyka literatury wypaczyła niejedno w twórczości wielkiego realisty rumuńskiego. Wymyślała ona przeróżne formuły i eklektyki, które na każdym kroku łączyły z nazwiskiem Sadoveanu. Wypaczyły one gruntownie sens ideologiczny twórczości pisarza. Lecz nie koniec na tym: ciż sami burżuazyjni historycy literatury i krytycy literatury dawno orzekli, że Sadoveanu zakończył swą ewolucję pisarską. W okresie między dwiema wojnami pogrzebali oni żywego pisarza, usprawiedliwiając swoje postępowanie faktami, jako by Sadoveanu już „wszystko powiedział”.

Jednakże nie powiedział on wszystkiego. „Najbardziej utalentowani pisarze współczesności tworzą swoją pomocą milionom prostych ludzi bronić pokoju. I wtedy, gdy stoją w szeregu armii bojowników o pokój — mistrzowie literatury odwołują się do mas ludowych oraz do budzącej kapał i krzepiącej atmosferę obozu pokoju”. Tak pisał jeden z radzieckich krytyków literackich, do dając, że ostatnia powieść Sadoveanu pt. „Mitrea Cocor” jest właśnie wynikiem i elementem rewolucyjnego zrywu narodu rumuńskiego, silnego powiązania się pisarza z masami pracującymi, szczerzego przejścia się ich walką o lepszą przyszłość kraju.

2.

W początku 1950 roku, w kilka tygodni po ukazaniu się powieści „Mitrea Cocor”, pewien biedniak ze wsi Secani, zwrócił się do autora w liście opublikowanym w czasopiśmie „Flacăra”. Chłop ten pisał między innymi: „Odnalazłem tam (tzn. w powieści „Mitrea Cocor”) — to wszystko co przeżyłem ja, i co przeżyli podobni do mnie”. Trzeba przyznać, że czytelnicy nie zawsze odpłacają w ten sposób autorowi. Ten skromny list był największym hołdem, jaki można było złożyć wielkiemu pisarzowi.

W swej ostatniej powieści Sadoveanu napisał o wsi rumuńskiej, o ciężkim życiu biedoty wiejskiej,

Armia Czerwona nie tylko wychowuje ludzi radzieckich, równocześnie pomaga ona wszystkim w przewyższaniu pozostałości starego ustroju społecznego, przygotowuje ich do wielkiej batalii o promienną przyszłość swych krajów. Odtworzenie w dziele literackim tego doniosłego procesu przemiany rumuńskiego parobka, przedstawienie w utworze powieściowym psychiki radzieckiego człowieka nie było rzeczą łatwą dla pisarza, który nie znał bliżej radzieckich warunków. „Prawdą jest — pisał krytyk radziecki — że w soc., przedstawiających życie bohatera w radzieckiej niewoli, Michael Sadoveanu trudno było odmalować nie znaną mu rzeczywistość. Jednakże myśli artystyczny oraz słuszną pozycją ideową, pomogły pisarzowi wyłowić i pokazać w tych scenach najważniejsze — głęboki humanizm i umiowanie pokoju u ludzi radzieckich, ich odwagę i moralny poziom, ich dążenie do oświecenia ciemnych, przybitych nędzą i wyzyskiem chłopów rumuńskich”.

Prosty radziecki człowiek, czerwonoarmista Mitrea Karaganow, kolchoznik z Kostromy, którego Mitrea poznał w niewoli radzieckiej, otworzył mu oczy na otaczający świat.

— Dmtrze Małowiegiewicu — zwraca się do Karaganowa inny żołnierz radziecki — o ile ja pojmuję ty chcesz zrobić polityka z tego parobka z nad brzegów Dunaju?

— Tak, chcę — odpowiada Karaganow.

Karaganow się nie pomylił. Radzieccy ludzie nauczyli Mitrea, jak należy tworzyć nowe życie i w ten sposób konkretnie walczyć o pokój. I gdy mówimy o tym, musimy zawsze pamiętać, że los analfabety rumuńskiego jest uosobieniem tysięcy losów różnych ludzi z różnych krajów. Los Mitrei jest typowy dla chłopów wszystkich krajów demokracji ludowej, dla wszystkich narodów, które wyzwolił Związek Radziecki spod jarzma faszystowskiego i którym udzielił decydującego poparcia w utrzymaniu zwycięstwa, w budowaniu nowego życia.

4.

Jak mogliśmy zauważyć z powyższego krótkiego streszczenia, w powieści Sadoveanu zwycięstwo głównego bohatera nie oznacza jeszcze ostatecznego zwycięstwa. Koniec powieści „Mitrea Cocor” nie jest też zakończeniem drogi życiowej jej bohatera — to dopiero jej początek! „Podziw majątku Drom” — informuje nas autor — był dopiero początkiem. Mitrea wiedział o tym, gdyż dobrze pamiętał nauki, które niedawno otrzymał w kolchozie „Pamięć Ilijcz”, we wsi Tarasówka, gdzie był nie tylko jeńcem wojennym, ale równocześnie uważnym uczniem. Tutaj w Małurenach, jak i w całej Rumunii istnieją stare paroki. Jeszcze żywa jest socja jego dziadka, pola chłopieści wyglądają jak setki lat temu.”

Mitrea wie dobrze, że socja dziadka należy zamienić na traktor, ziemię trzeba uprawiać tak, jak ją uprawiają ludzie, którzy przywrócili mu godność ludzka. Tam w tym szczęśliwym kraju „o tym nowym świecie, w którym przebywał Mitrea, ludzie mają traktory, samoloty, elektryczność; nawadnia się tam nieurodzajną ziemię, która daje bogate plony, inżynierowie zmieniają przyrodę, a tam, gdzie rozpostierały się płaski, obecnie wyrastają lasy. A ludzie w Małurenach pograżeni są jeszcze we mgle przeszłości. Trzeba zbrynąć stary porządek. Aby tego dokonać trzeba zdecydowanie zerwać z przeszłością i wyjść na szeroką drogę nowego świata.”

Zerwać z przeszłością i wyjść na szeroką drogę nowego szczęśliwego świata — oto zasadniczy wniosek na przyszłość, jaki wyciąga bohater Sadoveanu. Ten silny, pełen wiary w ostateczne zwycięstwo ludzkości ostatni akcent nagrodzonej powieści, owo głębokie zaufanie, już nie nadzieja, ale pewność, że masy pracujące przy pomocy kraju socjalizmu wybudują lepszy i radośniejszy świat — to są te jakościowo nowe pierwiastki w twórczości Sadoveanu, o których wspominaliśmy wyżej; pierwiastki, które zdecydowały właśnie o przyznaniu mu nagrody pokojowej.

Powieść „Mitrea Cocor” zadala kłam opowiadaniom wszystkich tych, którzy dawno orzekli, że Sadoveanu zakończył swą drogę pisarską. Wielki pisarz rumuński nie tylko nie przestał pisać, ale pisze lepiej, pragnie do końca służyć swemu narodowi. Wielkie dzieła, takich z dnia na dzień dokonuje naród rumuński budując lepszą przyszłość, inspirując pisarza. „Jesteśmy szczęśliwi — pisał niedawno Sadoveanu — że możemy poświęcić nasze wysiłki i ofiarować im pokolenia, które rośnie. Płomień naszego entuzjazmu będzie świecił w oczach przyszłych ludzi — naszych dzieci. Płomień naszego entuzjazmu będzie się odbijał w pokornych żywiołach rzek, hydroelektryczności jak i w fabrykach, będzie on oświetlał bezkresne ogrody, pola z bogatymi plonami... Światło głębi naszej ojczyzny. Wszystko to zostanie dokonane, o ile będziemy krocząc za przykładem Kraju Rad. Nie chcemy znać innej walki oprócz tej, która zdążyła do całkowitego wyzwolenia człowieka.”

Pierwszy i zdecydowany krok na tej drodze walki Sadoveanu ma już za sobą. Jest nim słusznie odznaczona nagroda pokojowa powieści o „parobku z nad brzegów Dunaju”, który „stał się politykiem”.

Marian Wilk

